ŁOWIEC POLSKI



„Sarenka"

BYDGOSZCZ V.48 r. Kirilenko

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 6 (955) Czerwiec — 1948 r. Cena zł 50

PROTOKÓŁ Z POSIEDZENIA

Sądu Konkursowego Fotografii Myśliwskiej

z dn. 24 maja 1948 r.

W skład Sądu, stosownie do warunków Konkursu, ogłoszonych w zeszytach 1 i 3-m „Łowca Polskiego" z r. b., weszli członkowie Komitetu Redakcyjnego oraz zaproszony, jako rzeczoznawca, kol. Włodzimierz Puchalski. Kol. Puchalski na posiedzenie nie przybył. Wzięli udział w Sądzie: J. Gieysztor, Z. Kowalski, J. Skrzypek, M. Mniszek Tchórznicki, Z. Zabłocki i Z. Klawe.

Do Konkursu stanęło 8 zawodników, składając ogółem 63 zdjęcia. Zebrani stwierdzili, że część zawodników nie zachowała w tajemnicy swego nazwiska, jak to przewidywały warunki Konkursu, umieszczając je bądź na zdjęciach, bądź przy spisie fotografij. Nie uznano, jednak, tego za przeszkodę do rozstrzygnięcia Konkursu.

Po zaznajomieniu się z dostarczonemi fotografiami i po wymianie zdań Sąd postanowił przyznać:

Nagrodę I-ą za serię zdjęć — godłu „Basior",
Nagrodę II-ą „ „ „ R. Serwińskiemu,
Nagrodę III-ą „ „ „ — godłu „Sójka",
Nagrodę I-ą za zdjęcia pojedyńcze „Orlątko" i „Danuta" godłu „Rybitwa".

Po otwarciu kopert z godłami stwierdzono, że nagroda I-a za serię w kwocie 10 tys. zł. przypadła kol. Zygmuntowi Drzewieckiemu z Olsztyna, nagroda II-a za serię w kwocie 6 tys. zł. — kol. Romanowi Serwińskiemu z Tarnowa; nagroda III-a za serię w kwocie 4 tys, zł. kol. J. Walkowskiemu z Poznania, nagroda I-a za zdjęcia pojedyńcze w kwocie 5 tys. zł. — kol. Antoniemu Wiśniewskiemu z Racota pow. Kościan.

Pozatem zakwalifikowano do zamieszczenia w „Łowcu Polskim" poszczególne zdjęcia, nadesłane w ramach Konkursu przez kol. A. Wiśniewskiego i A. Gaponowa, oraz poza Konkursem — przez kol. Z. Kowalskiego i T. Zana.

Przewodniczący Sądu Konkursowego

J. Gieysztor.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 6 (955) 1 9 4 8 Czerwiec



Kaczory *rys. T. Bełżecki*

ALEKSANDER DANILCZUK

ŚREDNIOWIECZE

(Opowiadanie z I-go tomu „Gawęd łowieckich" p. t. „Nad wodami Sujfunu", który ma się w najbliższym czasie ukazać nakładem Spółdzielni „Las", w opracowaniu Zbigniewa Kowalskiego).

Skończywszy nudną pracę z regestrami furażowymi, zastanawiałem się, dokąd by umknąć na najbliższą niedzielę, kiedy Wańka zameldował, że przyszedł Ładryga. Wizyta ta ucieszyła mnie mocno, gdyż Paweł przybywał niewątpliwie z dobrymi nowinami i pewnie z propozycją polowania.

— Dawaj go tu prędzej — zawołałem.

Ładryga wszedł do pokoju.

— Zdrowia życzę panu porucznikowi.

— Witajcie Pawle... Zdejmcie kuchlankę i rozgośćcie się. Pewno jesteście głodni?

— Dziękuję... Na tartak wstępowałem, kum Jemelian nakarmił do syta.

— No to może dobrej herbaty się napijecie?

— Herbaty zawsze można, jeśli łaska pana porucznika.

Kazałem podać samowar. Paweł rozwiązał powoli rzemienną opaskę, zdjął kuchlankę i rzu-

ciwszy ją na podłogę, przysiadł się na koniuszku krzesełka.

— Cóż tam u was słychać?

— Bóg zapłać. Żyje się pomaleńku. Przyniosłem ja coś panu porucznikowi. Rad będziesz...

— Co takiego. Pokaż.

— Wybaczyć pan musisz, tego w kieszeni nie przyniesiesz, za duże.

— Rozumiem, macie grubego zwierza.

— Czy grubego, tego ja nie wiem... Sami będziecie musieli sprawdzić, jeżeli ochota po temu.

— No, no... Gadajcie Pawle.

— To posłuchaj pan. Przyszedł do mnie zeszłej niedzieli Onufry, znajomy mój jeszcze z Sachalinu, jest on na zrębie w Kluczowej Padi zatrudniony, za dozorcę nad Chińczykami. Przyniósł kilka tumaków. Futerka od niego kupiłem i herbatą go częstuję na drogę, a on powiada: „Mam ja dla ciebie Pawle jeszcze interes. Na gawrę ja wlazłem, przypadkowo. Słyszę, pomruk zwierz podaje, ssawy tylko nie słychać. Albo z malkami niedźwiedzica tam siedzi, albo tylko patrzeć, jak się oszczeni. Może ją kupisz ode mnie?".
Ja mu tłumaczę, że żywym zwierzem sam nie handluję, ale powiadam: „Kupca ci mogę znaleźć... jak cenisz?"

— Od skóry zależy — jak słaba — trzy ruble, jeżeli średnia — pięć, jak naprawdę tęga — to i dziesięć trzeba wziąć.

— Dla mojego porucznika towar — pomyślałem sobie — no, mówię — drożysz się, ale jak sposobny barłóg, kupię. A on powiada: Jak sposobniej być może, kiedy barłoga przy samej twojej drodze leży.

Wszedł Fed'ka z samowarem...

— Zabierz, no, ten samowar do diabła, a daj tu ten gąsiorek, co to pani intendentowa przysłała...

— Rozochocił ty sie panie poruczniku, gorące masz do łowów serce—wyszczerzył do mnie zęby Ładryga.

— Opowiadajcie dalej.

— Zaraz, zaraz... Ot, wybrałem się dziś na pocztę... Tak myśle, porucznikowski dobytek po drodzę sprawdzę. Zabrałem się więc o północku, wstąpiłem do Onufrego, barłogę obejrzałem. Rzeczywiście, bardzo sposobnie leży... Tobie panie blisko. Dostęp łatwy. Onufry sprawiedliwie meldował. Zwierz nie ruszany, pomruk podaje rzadki... Ja myślę, że to niedźwiedzica z malkami będzie, ale możliwe, że to i jaki zażywny kawaler tak się wyleguje.

Powiadam tedy do Onufrego:

— Twój fart[1]) chłopie, masz tu trzy ruble zadatku, pilnuj, żeby niedźwiedzia nie ruszyli. Jak zwierz odpowiedni się okaże, na pewno imperiała dostaniesz. No, a potem hajda do pana porucznika z meldunkiem...

Gąsiorek „czernichy" łaskawie mi ofiarowany przez panią Natalię i jej małżonka w dniu mego patrona, już stał na stole. Nalałem stopki, a podając jedną z nich Ładrydze, rzekłem:

— Za twoje zdrowie, Pawle. Bóg zapłać, że o mnie nie zapomniałeś.

Wstał, pokłonił się i wolnymi łykami, smakując, wysączył zawartość stopki. Postawił ją na stole, znów pokłonił się, obtarł rękawem usta, rozświetlił swą okrągłą gębę szerokim uśmiechem i siadając, miękkim, rozmarzonym głosem, odezwał się:

— Duszyste wino... Wiosną, ciepłym słonkiem pachnie.

Nalałem stopki i zacząłem omawiać szczegóły przyszłej wyprawy.

— Gdzie on leży, Pawle. Jak tam dojechać?

— Pamiętasz panie poruczniku to miejsce, gdzie z lasowej drogi na moją ścieżkę skręcałeś, a po tym przeprawiałeś się przez ciepłe źródło?

— Doskonale pamiętam. Rozdroże leżało w starodrzewiu. Ale popijajże Pawle, jeżeli ci smakuje.

— Jak może nie smakować... Samo zdrowie człowiekowi na serce spływa... Ot, widzisz, tam on i leży. Od zakrętu trzeba jechać drogą jeszcze ze dwie wiorsty, a od zrębu ruszać pieszo. Z pół wiorsty będzie wszystkiego. Las czysty, czerwonym drzewem podszyty, droga dobra. Tylko sama gawra w trudniejszym nieco miejscu, ale to bagatela.

Dolałem opróżnione stopki czernichą.

— Rzeczywiście bardzo wygodne miejsce, kochany Pawle. Można jednym dniem całą wyprawę załatwić. Zaraz... dziś mamy czwartek, to może bym w niedzielę z rana wyjechał na miejsce.

Spoważniał nagle i przerwał mi:

— Nie zając to i nie lisek, a niedźwiedź. Nie godzi się brać go, kiedy w domach bożych nabożeństwo się odprawia, kiedy ludzie Wszechmocnego proszą o życie dla wszystkich, dla wszystkiego, co żyje. Fartu nie będzie — dodał, jakby wstydząc się swej religijnej filozofii rosyjskiego chłopa. — Jeżeli w niedzielę, to przyjedź pan panie poruczniku zaraz po południu, a ja z Onufrym będziemy czekać na ciebie na drodze.

— Macie rację, Pawle. Dobrze, słusznie powiedziane. Przyjadę w niedzielę na pierwszą po południu... No, za powodzenie w łowach.

Wypił powoli i z powagą ciągnął dalej:

— Tylko ot co jeszcze. — Niedźwiedź nie wiewiórka, tak sam na sam z nim gadać nieporęcznie, a pewnie to będzie pierwsze pańskie spotkanie.

— Nie, strzelałem już zeszłej jesieni, tylko drobnego przelatka.

— To już całkiem dobrze, widziałeś znaczy misia na swobodzie w całej krasie wolności i strzeliłeś. Nie każdy myśliwiec ma do tego serce. Zdarzało mi się... widziałem. Dzielny ochotnik i do wilków i do łosia, do ptactwa wszelakiego, a jak niedźwiedzia przed siebie dostanie, tak duch z niego i wyjdzie... nie strzeli... Ot, co ci powiem: mądre to słowo „strzeżonego Pan Bóg strzeże", a ty panie poruczniku kompana sobie dobierz. Nie ma w tym wstydu... nie ma.

---

1) fart — szczęście.

— Ech, Pawle! Przecież ty będziesz. A i Onufry.

— Onufry. Sidlarz on, nie ochotnik! Sobola, tumaka potrzaskiem nakryje. Trutki na lisa czy wilka sprawnie założy, ale duch w nim malutki, mysi. A ja drągiem zwierza podnosić będę... Twardo on leży, a jeżeli z malkami, to i może się srodze bronić. Śmiertelny taniec z nim odtańczyć trzeba.

Wypił swoją stopkę do dna. Nalałem mu nową... Po chwili milczenia, jakby po głębszym namyśle, dodał:

— A i pomyśl, niechby z tobą, Boże uchowaj, jakie nieszczęście się stało, ot przypadek. To ja przepadłbym wtedy. Zaraz wszyscy zakrzyknęliby, że Sachalińcy oficera zamordowali.

— Znowuż masz rację, Pawle. Zaproszę kogoś z kolegów myśliwych. Myślę kapitana B.

— Złote słowa... Bywały to człowiek, słyszałem, że i tygrysowi w ślepia patrzał i oczu nie zmrużył.

Wypił nalaną stopkę. Milczał, jakby coś rozważał, a po dłuższej chwili, cichym głosem zaczął:

— Tu mi przebacz, nie gniewaj się panie poruczniku, człowiek ja nie tylko prosty i pozbawiony wszelkich praw. Numer mam zamiast nazwiska... Muszę ze strachem, z obawą, przed siebie patrzeć. Ot w lipcu komisja będzie, obejrzą obejście, zagospodarowanie. Notatki z dozoru ja mam dobre i tu i z Sachalinu jeszcze. Może znów człowiekiem prawdziwym się stanę, dokumentalnym Pawłem Ładrygą, nie numerem.

Wolnymi łykami osuszył swoją stopkę i milczał przez dłuższą chwilę, po czym ciągnął dalej:

— Ty, jak myślisz, panie poruczniku. W chwili, kiedy trzeba wybrać pomiędzy swoim życiem, a cudzym, kiedy trzeba zdecydować, czy swoje życie oddać, czy cudze wziąć... To ja... to co trzeba robić, żeby sprawiedliwie, żeby po bożemu było...

Umilkł i patrzył mi prosto w oczy, jakimś nieswoim, twardym dręczącym wzrokiem. By oderwać oczy od tego nieznośnego, męczącego spojrzenia, chwyciłem za gąsiorek i napełniłem jego pustą już stopkę. Bez wahania sięgnął po nią i duszkiem ją osuszył. Sposępniał. Jakiś wielki smutek, a może cierpienie rozlało mu się po twarzy...

— Czy ty wiesz, panie poruczniku — spytał nagle podniesionym głosem — co to znaczy słowo „snochacz".

— Nie słyszałem — przyznałem cicho.

— To ci powiem! Ot chłop ma syna. Dorósł mu. Żeni go z młodą dziewczyną i żyje z żoną syna, jak z własną. Ot, taki człowiek nazywa się snochacz, bo ze swoją synową żyje, po naszemu ze swoją snochą.

Znów sięgnął po swoją nalaną już stopkę, znów bez zaproszenia ją osuszył. Po tym popatrzył mi znów prosto w oczy i przytłumionym głosem zaczął:

— Pochodzę ja z nowogrodzkiej guberni, z północnej części tichwińskiego powiatu. Wioska nasza zapadła, w praborach sosnowych, wśród mszarów i błot. Sialiśmy trochę żyta, jęczmienia, więcej owsa. Sadzili ziemniaki, kapustę. Sianokosy sprzątali niezłe, bydła trzymali sporo i żyli sobie bez biedy. A zimą zwierza dobywali, albo dla panów ze stolicy tropili. Niedźwiedzie w gawrach sprzedawali, rysie, wilki, lisy fladrami okładali, pod łosie podprowadzali. Za tumakami, popielicami, cieciorami, jarząbkiem, aż hen w wołogodskie puszcze chodzili. Zarobki były niezgorsze.

Skończyłem osiemnaście lat. Wyrosłem na tęgiego chłopca. Naukę myśliwską już rozumiałem... Ruszone wilki, czy rysia na chodzie osznurować potrafiłem.

Wypił jeszcze stopkę czernichy, westchnął ciężko i śpiesząc się, urywanymi zdaniami, mówił dalej:

— Woła mnie ojciec: żenić cię będę. Swatów posyłam. Czas już. — Wasza rodzicielska wola — powiadam.

Pożenili, Marfuszą ją zwali, żonkę moją. Pokochaliśmy my się, krasawica ona była, a cicha, a skromna, a robotna. Z miesiąc przeżyliśmy ze sobą, aż mówi Marfusza do mnie: „Rodzic twój na mnie nastaje, żyć nie daje. Wczoraj posiniaczył całą i potłukł. Ot, patrz". Do nóg ja ojcu padłem.



Niedźwiedź *rys. S. Rozwadowski*

— Zlituj się ojcze, zlituj. Miłujemy my się.

— A ty nie wiesz szczeniaku, jakie moje prawo—powiada. Może ja nie twój ojciec... Nie od nas wiara ta poszła. Z dziada pradziada tak ustalone. Obyczaj, wiara taka w całej okolicy. Snochacze my...

— Wiem — odrzekłem — to też nie prawa się upominam... O litość proszę cię, jak człowieka. Wróciłem kiedyś z lasu, siekierkę za pasem miałem. Konia wykładam, nagle słyszę w izbie krzyk rozpaczliwy. Marfusza o ratunek woła. Wpadłem do izby, a on ją za włosy na łóżko wlecze. Zerknął na mnie. „Precz — krzyczy — bo zaduszę jak kota". Rzucił ją na łóżko... Chwyciłem wtedy siekierkę z za pasa i wyciąłem go w samo ciemie.

Głowa opadła Pawłowi na piersi... Po dłuższej chwili milczenia wyprostował się i hardym głosem powiedział:

— Żył na świecie wesoły, szczęśliwy chłopak, Paweł Ładow go zwali... i przestał żyć. Sachaliński katorżnik się narodził... zbrodniarz... Paweł Ładryga.

Żegnając tego „Sachalińskiego zbrodniarza" serdecznie uścisnąłem mu dłoń. Paweł rozpłakał się jak małe dziecko.

*

W sobotę, wprost z ujeżdżalni udałem się do kapitana B. Niestety, nie zastałem go, wyjechał w delegacji służbowej na dziesięć dni. Niewiele myśląc, skierowałem Deresza w stronę poczty.

— No, nareszcie doczekałem się porucznika! — powitał mnie pan Józef. — Gdzież się pan podziewał?

— Uczyłem się lisy fladrować! Już Fed'ka cztery z mojego tropienia zabił.

— Widzę, że bez pańskiej pomocy do przyszłego października zwierza nie powącham.

Zauważył mój uśmiech, bo z goryczą dodał:

— Panu dobrze się śmiać! Pięknego rogala i dwa wilki sprzątasz dzień po dniu, a ja tylko myszy we własnym mieszkaniu wyłapuję.

— Zaraz, zaraz. Przyjechałem właśnie do pana z konkretną propozycją.

— Toż nie męcz, poruczniku, mów.

Opowiedziałem mu pokrótce z czym był u mnie Ładryga.

— Bardzo serdecznie panu dziękuję, z wielką przyjemnością popatrzę, jak się pan z tym niedźwiedziem rozprawi.

— Dlaczego koniecznie ja będę się rozprawiał, a pan przyglądał. Łatwo może być odwrotnie...

— Jakie tam odwrotnie... Niedźwiedź pański, leży w gawrze, nawet nie potrzeba go szukać.

— Niedźwiedź jest mój, ale ja zapraszam pana polować na tego, jak pan nazywa, mojego niedźwiedzia, a nie... — nie zdążyłem skończyć.

Drzwi się rozwarły i na progu ukazała się urocza postać pani Natalii, a za nią zagrzmiał tubalny głos pana Atanazego:

— Widzę ja, Deresz przed domem, znaczy zguba odnalazła się. Trzeba myślę wstąpić, cóż ty, sokole mój, nie łaskaw na nas.

— Ogromnie się cieszę, że panów tu zastałam. Pomóżcie mi uporać się z tym niegrzecznym dzieckiem, zerknęła zgrabnie ni to w moją, ni to w męża stronę pani Natalia.

— Ładnie niegrzeczne — zagrzmiał pan Atanazy. — Ganiają człowieka cały Boży dzień, jak cielę po okólniku, nawet protestować nie mogę.

— Wytłumaczcie panowie temu dziecku receptę doktora, który wyraźnie powiedział, że Atanazy ma nie mniej jak cztery godziny dziennie przebywać na powietrzu, zażywać ruchu, a im dłużej, tym lepiej.

— Och, złoci moi! Choćbyście mnie na jakie polowanie zaprosili, czy tam gdziebądź, bylem się z tych kochanych pazurków mógł wyzwolić choć na parę godzin — odciął się Atanazy.

— Wedle rozkazu, panie radco — zadzwoniłem ostrogami—właśnie jutro wybieramy się na ciekawą wyprawę. Będziemy się porać z niedźwiedziem. Do ostępu blisko, zaledwie kilkanaście kilometrów i droga doskonała, powozem jechać można.

— Niedźwiedź! — huknął Atanazy. — Cóż, z tygrysami sobie radziłem, można spróbować i z niedźwiedziem.

— Tylko bez ekstrawagacji, mój Tasiu. Pojedziesz, popatrzysz się i to ci wystarczy—oznajmiła pani Natalia.

— Ratuj, sokole mój, bądź zbawcą — śmiał się Atanazy.

— Niestety panie radco, już dwóch kandydatów na dziedźwiedzią skórę jest, dla trzeciego miejsca nie ma, chyba by przypadek. Przed chwilą dyskutowaliśmy z panem Józefem kwestię, do którego z nas ma należeć pierwszy strzał... Możeby pani zechciała nam w tej sprawie pomóc.

Wyrwałem z notesu dwie kartki i naznaczywszy jedną z nich jedynką, a drugą dwójką, wrzuciłem je do ogromnej papachy Atanazego.

Piękna rączka doręczyła każdemu z nas po białym ruloniku. Rozwinąłem swój. Była na nim dwójka.

— I co pan teraz powie, panie Józefie, kto się będzie przyglądał.

Litwin spłonął, jak czternastoletni podlotek.

— Jeżeli już los tak łaskaw dla mnie, to pozwolę sobie zwrócić się z prośbą do pana. Jest pan, poruczniku, moim dłużnikiem, chcę skorzystać ze sposobności i odebrać swoją należność.

— Też znalazłeś czas do załatwiania porachunków — odezwał się z niechęcią Atanazy. A zresztą, jak Oleś nie ma przy sobie pieniędzy, to ja ci zapłacę. Ile — zapytał, wyjmując portfel i kładąc go na stole.

— Złoty, kochany panie radco! Nie śpiesz się — wtrąciłem, wstrzymując rękę Atanazego.

— Pan radca myli się — dodał pocztmistrz.— My z porucznikiem mamy inne, nie pieniężne porachunki. Pan porucznik sprzątnął mi z przed nosa odyńca, co pchał się już na mój kordelas...

— To jakże on ci go odda?

— Pewno, że tego odyńca to już zwrócić nie może. Ale niedźwiedzia — owszem.

— Ach, ty cudaku mój, puszczo ty litewska! Przecież niedźwiedź jeszcze żywiuteńki w gawrze leży, a ty powiadasz, oddaj!

— No, niech tylko odda, to ja już go z barłoga sam wydobędę.

— O ile pana rozumiem — odezwałem się — to chce pan iść na tego niedźwiedzia z kordelasem.

— Z kordelasem — przerwał mi — to na zakończenie, wpierw trzeba misia na oszczep przyjąć.

— Poczekaj — wtrącił Atanazy. Ty najpierw wytłumacz człowiecze kochany... Gołębie masz serce, duszę czułą, a dźgałbyś w żywe mięso. Ot, Oleś, od kalectwa, albo zgoła od śmierci cię ratował, a ty powiadasz, odyńca ci winien. Ładnie byś wyglądał, żeby ten odyniec z tobą się przywitał. Ja myślę, że byś w ogóle nie wyglądał...

— Nie jeden dzik mnie już witał, a wyglądam jakoś nieźle — uśmiechnął się Litwin.

— Bo spotykałeś się z turkiestańskimi podświnkami, a tutejszego, prawdziwego dzika, jeszcze nie widziałeś, a z nimi to już całkiem inna sprawa...

Tę słuszną uwagę pan pocztmistrz pozbył milczeniem i zmienił temat rozmowy.

— Nie o dźganie tu chodzi. Ja, jak cios zadam, to cierpię, jak bym go sam sobie zadał... Tu chodzi o co innego, kochany panie, aby cios zadać, trzeba najpierw własną skórę podstawić. Zdrowiem albo i życiem zaryzykować. Znaczy nie morderstwo, a rycerskie spotkanie, walka. Od praojców to do nas przyszło. Ot, porucznik mnie dobrze rozumie, prawda?

— I ja cię rozumiem, sokole. Ale po co nożem koniecznie. Wziął byś do rąk uczciwą dubeltówkę...

— To znowu szanse nie równe! Ryzyko dla mnie zbyt duże, bo zanimbym wycelował, niedźwiedź już dawno by na mnie siedział...

— Chyba, że tak. Za powolnyś ty, za powolny. Maczuga do twoich łapsk, to by najlepiej pasowała.

— Może by i pasowała. Ale ja proszę porucznika tylko o to, żeby, jeżeli mnie przysługuje pierwszy strzał, nie palił niedźwiedziowi ze swojego ekspresu w łeb, jak tylko z gawry się wysunie, ani jak się na łapy podniesie. Niech mi pozwoli popróbować zdobyć zwierza zamiast dymu — żelazem. A jeżeli mi się nie uda, jeżeli zwierz mnie zmoże, no, to niech porucznikowska kula decyduje.

— Zgoda! — zawołałem, wyciągając do Litwina rękę.

— Zgoda, to zgoda — potwierdził Atanazy — i ja się zgadzam...

— A ja, nie! Wogóle jesteście wariaci — zawołała płonąc, jak zorza pani Natalia. Tasiu, wracamy do domu.

*

Na drugi dzień w południe ruszyłem znajomą drogą. A droga była znakomicie utarta i wyrównana, bowiem dwieście podwód przechodziło nią codzień, zwożąc kloce na tartak. Wypoczęty Deresz prosił o wodze i co raz dodawał kłusa, drogi ubywało.

Około pierwszej godziny zaczerniała przede mną na drodze grupa ludzi i kontur wozu. Z daleka rozpoznałem krępą postać Ładrygi, ruchliwą figurkę Timoszki, kożuch intendenckiego żołnierza, atanazową taratajkę, a nieco na boku jakąś wysoką, szczupłą postać, prawdopodobnie Onufrego, koło której leżał trzymany na smyczy pies.

Podjechałem i przywitawszy się, wziąłem Pawła na bok. Pokrótce zameldował mi, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Z kolei poinformowałem go o zamiarze pana Józefa dobywania zwierza oszczepem. Widocznie projekt ten nie przypadł mu do smaku, bo z kwaśną miną zapytał:

— A próbował pan pocztmistrz kiedy takiego polowania?

— Mówi, że niejednokrotnie...

— To dobrze. Ale ja bym i tak wolał, żeby pan porucznik poczęstował zwierza kulą. Spokojniej by było.

Nad czymś zastanowił się, po tym zbliżył swoją twarz do mojego ucha i szeptał:

— A może to tak, przy kieliszku. Może lepiej polecę i pchnę zwierza, że niby ruszył, nie dotrzymał i koniec będzie z tą niebezpieczną zabawą.

— Uchowaj Boże, Pawle! Sprawa jest całkiem poważna.

Ładryga zamilkł. Wyraźna troska odbiła się na jego obliczu.

— A pan radca tak tylko dla kompanii, czy też... — zagadnął po chwili.

— Będzie z nami od początku do końca...

— No, to reszta w ręku Boskim — tu Paweł skłonił się i odszedł, kierując się w stronę Onufrego.

Coś mu tam tłumaczył, kreślił na śniegu jakieś znaki, objaśniał.

Za zakrętem drogi, w lesie, ozwały się dzwoneczki i janczary rozpędzonej trójki.

— Ot, całkiem niepotrzebna parada—mruczał z niechęcią Paweł. Nie lubi tego zwierz, och, jak nie lubi...

Tarantas pana Atanazego zbliżał się szybko. Pan radca był miłośnikiem i znawcą koni, więc dobrać trójkę potrafił. To też jego poddużny[1]) krępy, przysadzisty inochodziec, jakby przywarł do ziemi i sprawnie kołysał się w prawo i w lewo. Przyprzęgnięte[2]) zlekka odrzuciwszy każdy w swoją stronę kosmate łby, zamiatały w galopie drogę bujnymi grzywami.

— Ocho... kochane — odezwał się przeciągle woźnica i raptem zluzował naciągnięte lejce.

1) — koń zaprzęgnięty w hołoble pod dugę.

2) — konie przyprzęgnięte z boków poddużnego.

Przyprzęgnięte natychmiast przeszły w kłus, a następnie w stęp, poddużny przysiadł na zadzie i trójka, jak wryta, stanęła przede mną.

— A, sokole mój, już zdążyłeś dojechać! — wołał wesoło Atanazy, wyłażąc z tarantasu.

*

Ze względu na radcę, Paweł prowadził nas wolno... Ja szedłem tuż za Ładrygą, o kilkanaście kroków za mną podążał Atanazy, dalej maszerował pan Józef, a zamykał pochód Onufry z Bajkałem na smyczy. Maszerowaliśmy rzadkim, mieszanym starodrzewiem. Dęby-olbrzymy, hebany, jesiony i cisy otaczały nas wokoło, przypominając bardziej wytoczone z różnych gatunków kamienia kolumny, niż pnie. Podszyt był drobny, nie stanowił też przeszkody dla ruchu, jedynie w miejscach, gdzie promienie słoneczne zdołały przedrzeć się przez zwarte korony, pięły się ku niebu pokręcone ramiona wieloletnich pnączy. Igły szronu na podszyciu okryły ziemię wzorzystym, jakby tkanym srebrnymi nićmi kobiercem.

Paweł przystanął na chwilę i rzekł szeptem do mnie:

— Bywały to myśliwiec, pan pocztmistrz. Rozumie on dobrze, na co idzie. Ty się z kulą nie śpiesz. Pewnie bez niej się obejdzie.

Minęło pewnie pół godziny, zanim doszliśmy do drzewa, o które oparty stał obciosany, gładki jak świeca, cisowy drąg. Paweł wziął go do rąk, przystanął, odwrócił się w tył i uniósł rękę do góry. Onufry, idący ostatni, machnął w odpowiedzi mołochajem.

— Nabij — szepnął do mnie Paweł.

Po tym chwycił za rękojeść swego krzywego noża, zatkniętego za pasem, zluzował klingę w pochwie i szepnął:

— Nie zawadzi, różnie bywa na łowach.

Bezszumnym krokiem posuwaliśmy się dalej. Jeszcze półtorej setki kroków, Paweł przystanął i zawróciwszy podszedł do pana Atanazego.

Przez chwilę szeptał coś do ucha pana radcy, a po tym ulokował go za grubym dębem. Po tym zwrócił się do pocztmistrza i szerokim ruchem prawicy wskazał mu, zwartą jak trzcina, kępę młodniaków nieco na prawo od nas... Pan Józef zdjął czapkę, przeżegnał się i bezszelestnie, jak ryś, postąpił parę kroków naprzód.

Paweł wrócił teraz po mnie, dotknął palcami rękawa mojej kuchlanki, jakby wskazując kierunek za sobą. Kiedy zrozumiałem i ruszyłem za nim, postawił mnie o piętnaście kroków obok pocztmistrza, po czym okrążając kępę młodniaków, znikł mi z oczu.

Rozejrzałem się. Staliśmy półkolem o kilkanaście kroków jeden od drugiego.

Zapanowała dziwna, zdawało się, podwodna cisza. Słyszałem łomot własnego serca, dolatywał uszu ciężki oddech Atanazego. Zdawało mi się, że wszystkie te dźwięki są niepomiernie dalekie i odgrodzone ode mnie niewidzialną zasłoną.

Upłynęło kilka, a może kilkanaście nieznośnie nużących minut...

— Ehehej!!! — za kępą młodniaków, tuż przed nami wdarł się w ciszę okrzyk Pawła.

Ni to głuchy podziemny pomruk, ni to bulgot gotującej się w jakimś diabelskim kotle wody odpowiedział na pozew Ładrygi.

— Wstawaj!!! Wstawaj kudłaty!!! — darł się Paweł...

Krótki, urywany ryk, po tym groźny warkot rozległ się znów w gąszczu.

— Ruszaj się kumo!!! Ruszaj!!! — wołał Ładryga.

Nagle w gąszczu pękł jakby znajdujący się pod wysokim ciśnieniem kocioł, nad kępą młodników wzniósł się obłok śniegowego pyłu. Zasyczała i zaświstała, wydobywająca się na wolność sprężona para.

— Puszczaj psa!!! — wrzasnął jednocześnie Paweł.

Młode podrosty zachwiały się, jak pod naporem gwałtownego podmuchu, a po tym z tumanu śniegowego pyłu, trzasku lecących ku górze kawałków posuszu, wynurzyła się czarna plama niedźwiedzia.

— Aj!!! Ajajj, — zaskowyczał gdzieś pies.

Niedźwiedź rzucił łbem w stronę tego odgłosu i przystanął. Niedużymi, rzucającymi krwawe błyski ślepiami, wpatrywał się w stojącego o dziesięć kroków przed nim Litwina. Mimowoli skierowałem oczy w jego stronę.

Pan Józef zdjął z głowy futrzaną czapkę i piękny ukłon złożył niedźwiedzicy. Głuchym grzmotem rozwarła się paszcza zwierza, jakaś, jakby niewidzialna siła, dźwignęła go w górę. W jednej chwili stanął wyprostowany na tylnych łapach. Pies, jak wściekły, szarpał go za kudły.

W kilku lekkich skokach Litwin dopadł zwierza. Podrzucił w górę trzymany oburącz oszczep, wtulił głowę pomiędzy ramiona i zdawało się piersią uderzył w brzuch niedźwiedzia. Jednocześnie rozległ się trzask, podobny do chrzęstu odwodzonego, olbrzymiego kurka. Niedźwiedź odpowiedział strasznym w swej potędze, niedającym się z niczym porównać, rykiem rozjuszonej bestii. Olbrzymie cielsko runęło nawprost, nakrywając sobą pana Józefa.

— Czas już, ostatni czas — leciało mi przez głowę. Trzeba strzelać.

Atoli sztucer również latał mi w rękach, nie mogłem się złożyć, ani nawet dźwignąć go do góry. Do dzisiejszego dnia nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego i w jakim celu rzuciłem się naprzód, zatrzymując się tuż przed zwierzem.

Niedźwiedź rozparty na przednich łapach wtulił między nie łeb i jakby trząsł się, czy wewnętrznie dygotał. To głuchy bulgot, to tłumiony warkot wstrząsały kolosem... Potężny kłąb wznosił się przede mną prawie na wysokości mojej piersi, to opadał. Pies, jak pijawka, wisiał u gardła niedźwiedzia.

— Strzelaj-że, strzelaj — tłukło mi się w mózgu... I choć niedźwiedź był o krok, nie mogłem w dalszym ciągu podnieść sztucera do twarzy. A przecież chodziło o sekundy, o ułamki sekund.

— Tchórz — błysnęła mi myśl. — O Chryste Panie! Ratuj!

— I Pan Wszechświata wysłuchał mego błagania. Nagle najzupełniej spokojnie wzniosłem mój ekspres do góry, by także spokojnie i świadomie opuścić go w dół.

Zwierz bowiem dogorywał.

Szyja niedźwiedzia poczęła się prostować z linią grzbietu, z pod przednich łap wychylił się jego wielki łeb. Pełna krwawej piany szeroka paszcza rozwarła się bezdźwięcznie... i raptem masa zwierza przylgnęła miękko, bezwładnie do śniegu.

Jednocześnie z pod ciężkiego cielska posłyszałem przytłumione stękanie. Rzuciłem sztucer, poskoczyłem do niedźwiedziowego pośladka i począłem dźwigać do góry prawą tylną łapę. Podbiegł też Atanazy, cisnął swą tułkę na ziemię.

— Tam, pod zwierzem, człowiek się dusi — rozległ się twardy okrzyk Pawła — Onufry, czortowy synie, pomagaj.

Dwie pary silnych rąk uchwyciły obok moich za niedźwiedzią szynkę... Wtedy pokazała się uzbrojona w skrwawiony kordelas ręka pana Józefa. Chwyciłem ją i począłem ciągnąć.

— Nie ciągnij... ja sam się dźwignę, bylem się tylko oparł na łokciu — usłyszałem stłumiony głos Litwina.

Po chwili wynurzyła się płowa czupryna, a za moment i szerokie bary pana Józefa. Jeszcze kilka wysiłków i pocztmistrz stanął na nogach. Odsapnął i rzekł:

— Myślałem, że się zaduszę... to był straszny ciężar.

Ruszył kulejąc i czegoś szukał w podszyciu. Znalazł wreszcie i zerwał dwa, jak sierpy wygięte żółte liście dziwacznej paproci. Złom ten spoczął między uszami martwego zwierza. Pan Józef stał jeszcze przez chwilę nad niedźwiedziem, po czym otarł klingę, schował kordelas do pochwy i odezwał się cicho:

— Ładryga, zajrzyjcie no do gawry, tam pewnie sieroty zostały.

Pan Józef tymczasem podszedł do mnie. Był bardzo blady, po twarzy snuły mu się cienie fizycznego cierpienia...

— Dotrzymałeś słowa, nie strzeliłeś, Bóg ci zapłać. Nie zapomnę ci tego przez całe życie. Pozwól, że od tej chwili będę cię Olkiem nazywał, a ty mów do mnie Józwa. Bośmy bracia z tobą w Świętym Hubercie.

Spłonął rumieńcem zażenowania.

Na prośbę Józwy w ciągu drugiego dnia na podwórzu poczty, dokąd przywieziono nieobielonego niedźwiedzia, dokonałem z pomocą Józwy szczegółowych oględzin zakłutego przez niego zwierza.

Była to już wiekowa niedźwiedzica, odziana w piękną, brunatno-srebrzystą suknię. Nie przypominam sobie dokładnie jej wagi, należała jednak do wyjątkowo tęgich i zdaje się ważyła nieco ponad sześćset kilogramów.

Żądło oszczepu przeszło między czwartym a piątym żebrem, do serca zwierza nie dotarło, na skutek pęknięcia i złamania się drzewca oszczepu... Zdecydował o sprawie kordelas Litwina, który pod mostkiem znalazł drogę do komory sercowej.

Wróciłem do Józwy, by mu zdać sprawę. Wysłuchał mnie milcząc, a gdy skończyłem, odezwał się:

— Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Mnie wywożą dziś do Władywostoku. Potrzebna jest operacja, bo mi niedźwiedzica mocno poturbowała lewą stopę. Kto wie, jak długo przeleżę w szpitalu. A tu pozostała sierotka. Zaopiekuj się nią, dopóki nie wrócę.

Uchylił kołdry. Pod jego pachą spał mały, jedwabistą sierstką odziany stworek.

Był to „Miszuta".

A. Danilczuk.

JÓZEF GOETZ.

LIŚCIARKA JAKO PASZA

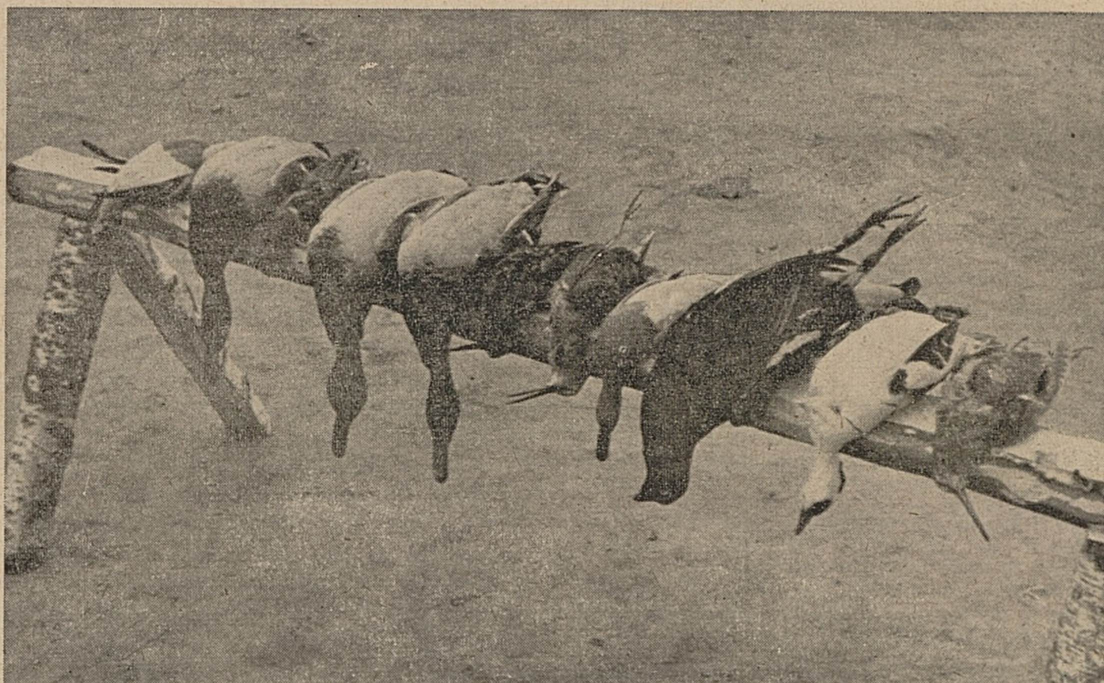
Zima już minęła, w dodatku bardzo łagodna, tak, że zwierzyna płowa nie ucierpiała i przypuszczalnie, jeśli idzie o jelenia, daniela i sarnę, odbije się to korzystnie na kondycji fizycznej i sile wypychanego poroża. Lecz nie zawsze zwierzyna znajduje tak korzystne warunki bytowania. Gdy gruba powłoka śnieżna, częstokroć zlodowaciała, przekreśla możliwości odgrzebania czernic, wrzosu czy ozimin, natenczas głód, w połączeniu z niskimi temperaturami, dziesiątkuje zwierzostan zarówno zwierzyny drobnej, jak i grubej. Na tę chwilę winien każdy myśliwy-hodowca być przygotowany, posiadając w zapasie dostateczną ilość i odpowiednią jakość paszy zimowej, by móc skutecznie przeciwdziałać ujawniającemu się brakowi paszy w łowisku. Ponieważ zaś nigdy nie da się, choćby w przybliżeniu przewidzieć przebieg zimy, przeto też przygotowania do podkarmiania zimowego winny cechować każdego roku tę samą staranność i przezorność.

Wydawałoby się na pozór, iż mówić o tym zagadnieniu jest grubo za późno. Tymczasem właśnie teraz jest najwłaściwsza i jedyna pora, by przemyśleć kwestję dokarmiania zwierzyny w czasie przyszłej zimy i już obecnie ułożyć sobie plan i sposób pozyskania odpowiedniej karmy. Kto rozpatrzenie tego zagadnienia odsuwa na dalszy plan, może nawet aż do jesieni, ten napewno nie myśli poważnie o dokarmianiu swej zwierzyny w przyszłej porze zimowej.

Dawniej, gdy większość łowisk leśnych (prawie wszystkie lasy prywatne) tworzyły jedną gospodarczą całość, z przeważnie dużym obiektem rolnym, kwestia pozyskania paszy dla zwierzyny była dość uproszczona. Zupełnie inaczej przedstawia się ta rzecz dzisiaj.

Łowiska leśne — przeważnie lasy państwowe — nie dysponujące rolą uprawną, już teraz muszą poważnie zastanowić się nad tym zagadnieniem i nad znalezieniem odpowiednich środków finansowych. Przytym rozważyć należy możliwości wyprodukowania paszy na własnych poletkach leśnych, względnie też, zakup jej w formie już gotowej w pobliskich gospodarstwach rolnych. Gorzej, jeśliby względy oszczędnościowe nie pozwoliły na zrealizowanie ani jednego, ani drugiego planu. Oszczędności te byłyby tylko pozorne, w rzeczywistości bowiem szkody, jakie zwierzyna niedokarmiana wyrządza, przekroczą znacznie wydatki, związane z jej dokarmianiem.

Mówiąc o dokarmianiu zwierzyny grubej, rozpatrzeć bezazotowych wyciągów itp., względnie jeśli skarmianie siana ma miejsce w łowisku siedliskowo-bogatym, gdzie zwierzyna zdoła ten brak wyrównać naturalnym, zasobnym w składniki odżywcze pokarmem, jak pędami, pączkami, żołędziami itp. Ujemne skutki żywienia jeleni prawie wyłącznie tylko sianem obserwować można w różnych zwierzyńcach, gdzie zwierzyna zmuszona jest odżywiać się mało urozmaiconą i ubogą paszą, podawaną przez człowieka. „Jeleniom potrzebny jest pokarm taki, który przy równej wadze z sianem, miałby mniejszą od niego objętość, zawierając jednak tę samą ilość białka" (Wróblewski). Takim pokarmem zbliżonym do naturalnego, jest liściarka.



»Klejnoty wiosny« *Z serii nagrodzonej, fot. Z. Drzewiecki*

należało by wszystkie gatunki paszy objętościowej, ziarnistej, treściwej i soczystej. W niniejszym referacie ograniczam się do omówienia liściarki, i to z uwagi na to, iż jest to produkt najbardziej może w obecnych warunkach gospodarczych dostępny dla każdego myśliwego-hodowcy. Z pasz objętościowych jest liściarka najwartościowszą i najbardziej naturalną, a pozatym bardzo chętnie przez grubą zwierzynę braną.

Gruba zwierzyna płowa (jelenie, daniele i sarny) przystosowana jest do pobierania i trawienia małych mas pokarmowych, posiadających jednak w stosunku do swej wagi dużą ilość składników odżywczych (białka, tłuszczów, bezazotowych wyciągowych i popiołu). Zwierzyna ta przeto potrzebuje pokarmu, któryby był objętościowo mały, za to bogaty w składniki odżywcze. Jeśliby odżywiać np. jelenia wyłącznie paszą trawiastą lub sianem, to przy stosunkowo małym jego żołądku (na 50 kg wagi żywej przypada u jelenia pojemność żołądka 12 ltr, cienkiego jelita 3,6 ltr) nie zdołałby przetrawić tak dużej ilości masy trawiastej, któraby zaspokoiła jego zapotrzebowanie na składniki odżywcze. Stąd też błędem byłoby karmić zwierzynę tylko sianem. Siano w większej ilości można tylko wówczas spasać, jeśli niedostatek białka, tłuszczów,

Liściarka jest dla zwierzyny wartościowsza od siana. Zawartość bowiem składników odżywczych jest większa, również korzystniejsza jest ich koncentracja w stosunku do suchego włókna. Liściarka zawiera dużo ubocznych składników, przyczyniających się do podniesienia zdrowotności zwierzyny. Wreszcie liściarka ze stosunkowo twardymi pędami zmusza zwierzynę do długiego gryzienia i przeżuwania, powodując obfite wydzielanie się śliny, co bardzo korzystnie wpływa na proces trawienia.

Pod nazwą liściarki rozumiemy właściwą liściarkę, używaną powszechnie dla celów łowieckich, w skład której wchodzą najmłodsze, lekko zdrewniałe pędy, poniżej ½ cm grubości, wraz z liśćmi. Ogólną tą nazwą określa się również same liście suszone, w całości lub mielone, względnie też same pędy letnie lub zimowe. W praktyce łowieckiej pozyskiwana bywa liściarka prawie wyłącznie w pierwszej formie.

Załączone poniżej zestawienie daje obraz zawartości surowych składników odżywczych w poszczególnych gatunkach liściarki, pozyskanej w sezonie letnim (wg. Paessler'a), przyczym pędy u wszystkich wymienionych gatunków nie przekraczały 0,5 cm grubo-

ści, a u jesiona i kasztanowca 1,0 cm grubości. Obraz ten nie jest pełny z uwagi na to, iż podane liczby ilustrują zawartość surowych składników, z których tylko część jest strawna. Narazie dysponujemy tylko liczbami, określającymi strawność przez poszczególne zwierzęta domowe (każdy bowiem gatunek zwierząt w różnym stopniu wykorzystuje zawarte składniki odżywcze w danej paszy), brak zaś jest danych, dotyczących zwierząt dzikich:

L. p.	GATUNEK	Surowe białko %	Surowy tłuszcz %	Bezazotowy wyciąg %	Surowe włókno %	Popiół %
1	Bez czarny — Samb. nigra	30.47	2.90	36.35	16.93	13.35
2	Bez koralowy — Samb. racem	26.25	4.87	40.44	16.52	11.92
3	Borówka czernica — Vacc. uliginosum	8.13	1.95	45.37	42.19	2.36
4	Brzoza — Betula spec.	15.91	8.94	50.00	20.75	4.40
5	Buk — Fagus silvatica	14.05	1.41	52.56	27.01	4.97
6	Czereśnia dzika — Prunus avium	13.94	2.97	57.13	18.52	7.44
7	Dąb szyp. — Qu. pedunculata	16.87	3.44	48.64	25.84	5.27
8	Grab — Carp. betulus	15.76	1.56	55.94	20.91	5.83
9	Jarzębina — Sorbus aucuparia	12.44	3.78	55.75	20.40	7.63
10	Jawor — Ac. pseudoplatanus	16.59	3.23	51.37	21.08	7.73
11	Jesion — Frax. excelsior	15.01	2.03	51.81	18.09	10.06
12	Kasztanowiec — Aesc. hippocastan.	16.90	1.12	52.73	22.40	6.85
13	Klon posp. — Acer platanoides	16,11	2.25	52.99	21.67	6.98
14	Leszczyna — Cor. avellana	14.72	1.56	55.12	22.13	6.47
15	Lipa drobnolistna — Tilia cordata	17.07	2.82	53.59	18.60	7.91
16	Lipa wielkolistna — Tilia platyphyllos	17.55	2.13	49.58	21.45	9.28
17	Malina — Rubus idaeus	11.98	1.24	45.14	35.74	5.90
18	Olsza biała — Aln. incana	15.73	4.97	56.58	18.43	4.29
19	Olsza czarna — Aln. glutiursa	17.66	6.30	50.37	20.62	5.05
20	Osika — Pop. tremula	16.20	5.94	46.31	24.71	6.80
21	Topola czarna — Pop. nigra	18.80	3.20	47.60	23.50	6.90
22	Wiąz polny — Ulm. campestris	20.04	3.51	48.52	15.15	12.78
23	Wierzba iwa — Sal. caprea	13.86	3.06	53.82	23.38	5.88
24	Wierzba krucha — Sal fragilis	18.23	1.82	49.15	23.71	7.09
25	Wrzos — Call. vulgaris	5.44	4.28	48.00	38.97	3.31

Dane te odnoszą się do samych liści.

Wartość przeto odżywcza poszczególnych gatunków zebranych w postaci liściarki, jest bardzo różna. Jeśli idzie o zawartość białka surowego, to szczególnie dodatnio wybija się Bez czarny, Bez koralowy, Wiąz polny, Wierzba krucha, Topola czarna, Olsza czarna itd., najuboższym zaś w białko jest przede wszystkim Wrzos, Borówka itd. Jeśli weźmiemy pod uwagę inny składnik odżywczy, jak tłuszcz, bezazotowe wyciągi czy popiół, zaznacza się zupełnie inna kolejność; w praktyce przeto, gdy pozyskuje się liściarkę mieszaną, złożoną z kilku różnych gatunków, wartości te wzajemnie się uzupełniają. Celowym jednak będzie, jeżeli mamy do wyboru, zbierać zawsze większość liściarki z gatunków, bogatych w składniki odżywcze.

Sam jednak tylko wynik analizy chemicznej nie może być jedynym miernikiem, które gatunki mają wchodzić w skład liściarki; na równi decydujące bowiem i brane pod uwagę musi być upodobanie zwierzyny, które w różnych łowiskach może od siebie dość znacznie odbiegać. O ile w jednym łowisku pewien gatunek drzewiasty czy krzewiasty, podany w postaci liściarki, jest przez zwierzynę chętnie brany, o tyle tym samym gatunkiem w innym łowisku może zwierzyna zupełnie pogardzać, względnie zjadać go dopiero w ostateczności. Mamy tu do czynienia z tym samym zjawiskiem, tak często obserwowanym, iż zwierzyna w niektórych łowiskach chętnie zgryza Topinambur, Rdest sachaliński, Wieczny łubin, Żarnowiec, w innych zaś łowiskach wogóle do tych gatunków się nie zbliża. Przypuszczam, iż w tych wypadkach bogactwo siedliska ma decydujące znaczenie. Z ustosunkowania się zwierzyny do poszczególnych gatunków, wchodzących w skład liściarki należy wyciągnąć praktyczne wnioski na przyszłość.

Najcenniejszą ma być liściarka z Topoli czarnej, Bzu koralowego, Jesionu, Lipy, Dębu, Maliny itp. Młode pędy Maliny, cięte przed zakwitem, dają bardzo chętnie braną karmę, natomiast pędów zdrewniałych (nawet w stanie świeżym) zwierzyna nie rusza. Również Buk i Wiąz mają dawać dobrą paszę tylko w młodym stanie. Jako szkodliwe dla zwierzyny, nie powinny być zbierane do liściarki: Kruszyna (Rhamnus frangula), Złotodeszcz (Laburnum vulgare), Czeremcha (Prunus padus), Powój (Clematis vitalba), Wierzba purpurowa (Salix purpurea), oraz dęby opanowane przez mączniaki. Również podnoszone są poważne zastrzeżenia co do Grochodrzewu (Robinia pseudoacacia), który zjedzony w większej ilości wywoływał u koni objawy zatrucia, i Bluszcz (Hedera helix). Zawarty w Dębie, Leszczynie i Olszy czarnej garbnik, powoduje u bydła domowego zaburzenia trawienne, zwłaszcza, gdy gatunki te podawane były w większej ilości, względnie bez żadnej innej domieszki. Garbnik zawarty w liściach dębowych, zjadanych przez zwierzynę w niezbyt dużych ilościach działa pobudzająco na działanie żołądka. Również Buk wywołuje takie same objawy. Bez czarny, mimo swego bogatego składu chemicznego, nie jest przez zwierzynę zjadany, przeto też liściarki z niego nie należy pozyskiwać.

Bardzo dobrą liściarkę mogą dać także pędy Topinamburu. By nie wpłynąć ujemnie na rozwój bulw, pędy mogą być cięte dopiero w sierpniu i to przynaj-

mniej 50 cm. nad ziemią. Pozyskane pędy wiąże się w pęczki i suszy stojąco, a nie leżąco. Ponieważ wartość odżywcza liściarki z Topinamburu zmniejsza się w miarę długości przechowywania jej, przeto spasać należy ją jako pierwszą.

Również zaleca się Pokrzywę, jako doskonałą paszę objętościową. Ponieważ na skutek deszczów w czasie suszenia bardzo łatwo czernieje, należy ją pozyskiwać tylko przy ładnej pogodzie.

Wreszcie liście opadłe jesienią z Kasztanowca, Jesionu, Klonu, dają bardzo tanią, bo łatwą do pozyskania liściarkę. Liście należy jeszcze dosuszyć i zadawać zwierzynie zimą w korytkach. Wartość odżywcza takich liści jest oczywiście znacznie niższa od normalnej liściarki, jako uzupełnienie jednak innych pasz, może być bardzo pożądaną.

Wartość odżywcza liściarki zależy w pierwszym rzędzie od czasu jej pozyskiwania. Zawartość składników odżywczych jest największa na wiosnę, czyli na początku okresu wegetacyjnego. Potwierdzają to badania przeprowadzone nad pędami dębowymi.

Miesiąc zbioru liściarki	Woda	Proteina surowa	Proteina czysta	Tłuszcz	Celuloza	Bezazotowe wyciągowe	POPIÓŁ Ogółem	w tym fosfór	w tym wapno
czerwiec	13.00	19.69	18.36	3.01	15.97	44.64	4.69	0.565	0.889
lipiec	13.00	14.39	13.56	2.41	18.93	46.79	4.48	0.380	1.011
sierpień	13.00	13.25	12.36	2.38	20.60	45 99	4.58	0.240	1.161
wrzesień	13.00	12.94	11.73	2.50	19.57	47.23	4.76	0.249	1.164
październik	13.00	9.33	8.28	2.58	25.38	45.90	3.91	0.200	1.155
listopad	13.00	5.40	4.74	2.05	31.94	41.01	3.60	0.146	1.052

Analiza ta wykazuje dość szybki spadek zawartości zarówno białka, tłuszczu, jak i popiołu, w miarę starzenia się pędów. Z powyższego wynika, iż zawartość składników odżywczych jest największa w czerwcu; miesiąc ten przeto jest najodpowiedniejszym do zbioru liściarki. Co prawda w miesiącu maju ilość składników zawartych w liściarce będzie jeszcze większa niż w czerwcu, i w maju można by pozyskać o wiele wartościowszą liściarkę, jednak ze względów oszczędnościowych nie przystępujemy do jej zbioru w tym czasie; dzięki bowiem zbyt delikatnej tkance roślinnej i dużej zawartości wody, liściarka, w miesiącu maju pozyskana, dałaby zbyt małą masę. Również do liściarek nie można brać pędów zbyt silnie zdrewniałych, gdyż po wyschnięciu mocno twardnieją i zwierzyna nie ma z nich żadnego pożytku.

Liściarka zebrana w czerwcu jest łatwo strawna, gdy natomiast jeden miesiąc później, traci już jedną trzecią ze swej pierwotnej strawności.

Pod koniec okresu wegetacyjnego, większą ilość składników roślina wycofuje z żółknących liści i odkłada je jako rezerwę w gałęziach, pniu i korzeniach. Jedynie zawartość tłuszczu zdaje się jesienią być znacznie wyższą w liściach, aniżeli w ciągu okresu wegetacyjnego. Opadłe liście jesienne posiadają przeto jeszcze dostateczną wartość, by w ostateczności dla uzupełnienia innych pasz mogły być pozyskiwane.

Najlepszą porą dnia do zbierania liściarki są wieczory, po słonecznych, ciepłych dniach. Na skutek bowiem intensywnego w takich warunkach procesu przyswajania, wzbogacają się liście w ciągu dnia w skrobię, w ciągu zaś nocy asymilaty przetransportowane zostają do wnętrza drzewa; rano przeto liście są najuboższe w asymilaty. Szczegół ten jednakże ma raczej teoretyczne znaczenie, wzgl. przy małej ilości pozyskiwanej liściarki może mieć zastosowanie, w praktyce bowiem zbiór liściarki musi odbywać się przez cały dzień.

Wartości odżywcze liściarki, zwłaszcza jeżeli idzie o zapas składników mineralnych, zależną jest ponadto w dużej mierze od nasłonecznienia oraz gleby i podłoża. Liściarka pozyskiwana ze stanowisk naświetlonych, jest bogatszą w składniki odżywcze, niźli liściarka pozyskiwana z cienia podszytów itp.

Gatunek	Ca 0% w suchej masie liści: z miejsc nasłoneczn. i gleby glin.	z miejsc zacienion. i gleby piasz.
Klon	3·91	1.85
Brzoza	1.26	1.24
Buk	2.46	1.02
Jarzębina	4·30	2.51
Kasztan jadalny	2.09	1.00
Dąb czerwony	1.50	1.10
Dąb szypułkowy	1.72	0.96
Dąb bezszypułkowy	1.45	1.02
Czeremcha amerykańska	5·77	1.49
Sosna pospolita	1.25	0.71

Również liściarki pozyskiwane z gleb gliniastych—zasobnych, są wartościowsze, niźli zebrane na glebach piaszczystych — ubogich. Duże znaczenie ma również podłoże gleby, z którego roślina czerpie przy pomocy korzeni swe pożywienie. Pewne światło na te współzależności rzuca analiza chemiczna liści i igieł, zebranych w płn.-zach. Niemczech.

Przewaga wartości (co do wapna) liści, zebranych ze stanowisk gliniastych i nasłonecznionych, jest uderzająca w porównaniu z liśćmi z piasków i podszytów. Analiza ta przeprowadzona była nad liśćmi zebranymi jesienią, lecz również latem zbierane liście z tych samych stanowisk wykazywały podobne, chociaż nie tak wielkie, zróżnicowanie.

Jeśli rozpatrzymy rozmieszczenie poszczególnych składników mineralnych w drzewie, stwierdzić musimy, iż najbogatsze w różne popioły (wapno, potas, fosfor i wiele innych minerałów), są jednoroczne pędy, i to szczytowa część z pączkiem. W kierunku nasady pędów i gałęzi wartości te zmniejszają się w miarę jak udział drewna do ogólnej masy wzrasta. Jeżeli rozważymy rozmieszczenie np. składników mineralnych i ilość ich w odniesieniu do suchej masy, stwierdzamy, iż np. Modrzew zawiera w 1 kg drewna twardzielowego 1,77 g popiołu, w drewnie bielowym 2,70 g, w łyku 28,93 g, a w korze 13,12 g. Również, jeśli się porówna liczby ilustrujące pobór składników mineralnych przez grubiznę i drobnicę, okazują się ogromne różnice. I tak 1 m^3 grubizny sosnowej pobiera z gleby 166 g potasu, 683 g wapna, 69 g fosforu, natomiast 1 m^3 drobnicy sosnowej pobiera 793 g potasu, 2150 g wapna i 626 g fosforu. Drewno przeto jest zawsze o wiele uboższe w składniki mineralne od łyka i gałęzi, a wśród gałęzi najbogatsze są szczytowe partie pędu. Stąd też jeleń czy inna zwierzyna, która przede wszystkim ogryza pędy szczytowe, czy też spałuje drzewa, bardzo umiejętnie wybiera właśnie te części rośliny, które są najbogatsze w składniki odżywcze.

Z tych też względów zbierając liściarkę, należy pozyskiwać tylko pędy szczytowe i to możliwie tylko jednoroczne oraz jaknajcieńsze; z reguły pędy grubsze od ½ cm jako pasza nie wchodzą w rachubę.

Szczególnie bogate w składniki odżywcze są blaszki liściowe i pod tym względem wybitnie wyróżniają się w porównaniu z pędami szczytowymi.

Gatunek zebrany latem	Liście lub pędy	Surowe białko	Surowy tłuszcz	Bezazot. wyciąg	Surowe włókno	Popiół
Bez koralowy	1) liście z ogonkami liściowymi	30.34	5.69	42.18	9.30	12.49
	2) liście bez ogonków liściowych	28.75	5.26	41.89	10.49	13.61
	3) Pędy bezlistne	19.65	3.67	37.26	29.76	9.66
Jarzębina koral.	1) liście z ogonkami liściowymi	14.72	4.15	57.58	15.45	8.10
	2) liście bez ogonków liściowych	13.10	4.00	56.46	18.05	8.39
	3) Pędy bezlistne	9.46	3.19	53.20	27.70	6.42
Jesion zwykły	1) liście z ogonkiem liściowym	18.30	2.31	57.48	10.59	11.32
	2) liście bez ogonków liściowych	15.46	2.07	55.13	16.68	10.66
	3) pędy bezlistne	11.25	1.72	51.82	27.00	8.21
Kasztanowiec	1) liście z ogonkiem lićciowym	20.00	1.16	55.67	16.32	6.85
	2) liśbie bez ogonka liściowego	18.31	4.13	51.81	21.22	7.53
	3) pędy beżlistne	12.38	1.06	50.71	29.66	6.19

U wszystkich wymienionych gatunków uderzająco duży jest zapas składników odżywczych, w porównaniu z pędami, zebranymi w tym samym czasie. Duża przewaga składników odżywczych w liściach skłania do dużej troskliwości przy zbieraniu i suszeniu liściarki. Wszelkie okruszone liście pomniejszają wartość, odżywczą danej liściarki.

Właściwym miejscem pozyskiwania liściarki są kultury leśne, gdzie w czasie czyszczeń i podkrzesywań, z rozmysłem przesuniętych na miesiąc czerwiec, pozyskać można dużo cennego materiału. Materiał ten należy oczywiście pozyskiwać w miejscach obfitujących w przymieszkę liściastych, ochraniać natomiast trzeba rzadką i nieliczną przymieszkę gatunków liściastych, których pędy i pączki w naturalnym stanie są nie mniej pożądanym pokarmem zimowym zwierzyny. W lasach ubogich, z przeważającą sosną, liściarkę należy pozyskiwać poza granicami łowiska leśnego, by siedliska danego jeszcze bardziej nie ubożyć.

Liściarkę tnie się nożycami ogrodowymi lub osadzonymi na drążku, układa się końcami pędów w jednym kierunku. Winno to mieć miejsce przy suchej po-

godzie. Suszenie liściarki sprawia pewne trudności z uwagi na to, iż liście i pędy wymagają różnego czasu wysychania; ponadto czas ten będzie się wahał w zależności od grubości pędów oraz gatunku.

Celem wysuszenia, rozpościera się cięte pędy na ziemi, w miejscu cienistym i przewiewnym, często je przewracając, przynajmniej raz na dzień. Unikać należy suszenia w bezpośrednim słońcu, gdyż dużo ilości się okrusza przy przewracaniu, a następnie wiązaniu. Przy suszeniu chronić należy liściarkę przed deszczem, gdyż liściarka wówczas bardzo szybko traci kolor oraz zmniejsza się jej wartość odżywcza. Czas suszenia wynosi przy dobrej pogodzie około 14 dni. Skoro mamy pewność, że pędy są już zupełnie suche, składa się je w pęczki, wiąże się luźno prętami wiklinowymi lub brzozowymi (nie drutem ani sznurkiem). Po dwa pęczki związane razem, wiesza się pod przewiewną szopą, celem dalszego i ostatecznego wysuszenia. Przewieszone na drutach lub żerdziach mogą w ten sposób być przechowane aż do momentu spasania.

Suszenie liściarki powiązanej odrazu w pęczki, chociaż praktykowane, celem nieokruszania liści, nie jest wskazane z uwagi na to, iż przy najmniejszym niedopatrzeniu liściarka szybko się psuje i traci swą wartość, jako przyszła karma dla zwierzyny. Najpraktyczniej i najtaniej jest porozkładać liściarkę pod dachem w dobrym przewiewie.

Samemu suszeniu i niemniej późniejszemu przechowywaniu liściarki poświęcić należy dużą staranność. Przede wszystkim ustrzec należy przed zapleśnieniem, które bardzo szybko przy lekkim zawilgoceniu się pojawia i czyni liściarkę jako paszę dla zwierzyny bezużyteczną.

Gdzie tylko jest możliwe, suszyć należy liściarkę sztucznie w suszarniach, gorzelniach itp. Sztucznie wysuszona liściarka ma większą wartość odżywczą, niżli suszona na wolnym powietrzu. Odpada tutaj również niebezpieczeństwo zepsucia się liściarki przy dżdżystej pogodzie. Dobra liściarka winna zachować swój naturalny zielony kolor, liściarka zczerniała na skutek kilkakrotnego zmoknięcia jest jako pasza bezwartościowa.

Wskazanym jest, by liściarkę spryskiwać solą kuchenną i następnie suszyć. Na 12—14 litrów wody wystarczy dodać $\frac{1}{8}$ kg soli rozpuszczonej uprzednio w ciepłej wodzie. Rozczynem tym spryskuje się liściarkę przy pomocy konewki przez pierwsze 3 dni suszenia, jeden raz dziennie. Na skutek tego zabiegu podwyższa się znacznie trwałość liściarki, a przede wszystkim w ten sposób do pewnego stopnia zaspokoić można zaznaczający się u zwierzyny wieczny głód soli.

Należałoby również poczynić próby, czyby tą drogą nie można było podać zwierzynie fosforanu wapna — tak bardzo ważnego składnika do budowy poroża, a poza tym do rozwoju płodu i młodzieży. Także liściarka spryskiwana melasą winna być bardzo cenną i chętnie braną paszą.

Pragnąłbym, by kilka tych uwag poświęconych liściarce, zachęciło leśników-myśliwych do przygotowania większych jej ilości, by zwierzyna nasza w nadchodzącą zimę mogła być zaopatrzona w wartościową paszę objętościową.

Józef Goetz.

LUDWIK HRYNCEWICZ.

POLOWANIE W POWIATÓWCE

Pomiędzy Niemnem, Niewiażą i Szuszwą, na styku powiatów Kiejdańskiego i Kowieńskiego, rozciąga się na przestrzeni około 24 klm. kw. teren zupełnie prawie nie zamieszkały. Porosły bardzo gęsto skarłowaciałą olszynką, leszczyną, małemi brzózkami, dębiną, scherlałą sosenką i jedliną — stanowi ciężki, lecz ciekawy teren. Są tam bielaki, dużo lisów, no i dziki. Pełno tam bajorków, rojst, zatrzcinionych i zarosłych jeziorek. Cały teren nie jest jednak podmokły, mimo iż stanowi w stosunku do otoczenia wyraźną kotlinę.

Środkiem puszczy prowadzi wyboisty gościniec z Poniewieżyka do Czekiszek, w centrum przy drodze stoi zagroda Mamerta Potockiego. Ilekroć widzę go, przypomina mi się pan Longinus Podbipięta — równie wysoki, równie powolny, o dobrych lazurowych oczach i gołębiem sercu. Mamert golił się raz na miesiąc, mył się raz na tydzień, czy trzeba, czy nie trzeba, nosił latem i zimą kożuch, jadąc w drogę wkładał na tenże kożuch szynel carski z tureckiej wojny. Powiatówkę znał na „tam i z powrotem". W najciemniejszą noc doprowadził do budek cietrzewich po zawiłych ścieżynkach dziczy, jak po nitce.

Wybraliśmy się kałamaszką z Bronisławem Żutowtem z jego rodzinnej „okolicy" Konty (wieś zamieszkała przez ludność polską, nie żaden osławiony w literaturze „zaścianek", a prosto — „okolica" i już), jeszcze dobrze przed świtem. Na wieczór, polując, mieliśmy dojść do pana Adama Macewicza, najzamożniejszego, bo na 50-cio morgowej ojcowiźnie siedzącego szlachciury, który tradycyjnie wyprawiał dla sąsiadów imieniny w dniu 23-im grudnia. Z brzaskiem byliśmy w Krzyżkielach, chłopak konie „odjechał" do Kont, więc tylko Mamert naciągnął buty, pozbierał z półek i szuflad naboje do swojej „żwirówki", co to zwierza nie żywi, bo „gadzinę przez stwoły" przepuścił — i ruszyliśmy.

Deszcz, który po północy był zupełnie ustał, znów zaczął siąpać, do reszty rozmiękczając i tak na papkę rozmoczony śnieg. Takiej kaszce śniegowej nie oprą się żadne buty, to też po chwili miałem przemoczone nogi, mokro za kołnierzem i wzdłuż „pacierza", pysk od gałęzi posmagany, no i humor pod Burkiem. Szliśmy sztrajfą, dla orientacji pogadując i pogwizdując na psy..., i na siebie, bo o trzy kroki nic widać nie było przez plątaninę „drzewostanu" Powiatówki. Przeszliśmy chyba z pięć kilometrów,— nic! Psy po wodzie wiatru zupełnie nie łapią, nogi po tej szatańskiej kaszy rozłażą się,— skaranie boskie, a nie polowanie. Zaczynam serdecznie żałować, że się dałem skusić na ten prymityw, i że kałamaszka odjechała. Teraz do najbliższego osiedla najmniej 15-cie opętanych kilome-

trów. Mówię o tym Mamertowi, który idzie w środku, nadając sztrajfie kierunek.

— Za wiorsteczkę, z haczonkiem, pilnuj panok kabana. On tam swoju legowisku ma. A miejsce tam jakie! — pod pagóreczkiem na rojście, tam nie on jeden, tam i świń parę z parszukami (z prosiakami). A i sama rojsta — nie darmoż „Welniaraistis" (diabla rojsta), latem nie dojdziesz do wyspy, a i zimy nie każdej! Zaraz psy zbierzem do ręki i w rojście puścim. Ja was postawia od Czerwonodworskiego lasu, od granicy pana Petrykasa, oni tylko tam i pujdo, nie indzie. Nie narzekaj, panok, jak mówiłem, że świni bendo, to bendo!" — pociesza mnie Mamert.

Ledwie Mamert skończył, szczeknął pies. Puszczą, bagnem, powietrzem, przez psy i ludzi przepłynął silny strumień prądu elektrycznego. Ani mi buty ciężkie, ani mi za kołnierzem mokro — tylko ochota, ochota!

— „Dawaj, dajdaj, dawajwaj,— a o, a o, tu, tu, tu!" — pokrzykuje Mamert.

Wraz też i psy zagadały całą sforą. Tu bas ogara, tam zwykłe szczekanie pokurcza mamertowego. Gon zajadły, ale jeszcze nie zdecydowany. Mignął bielak, przechodzi przez steczkę, — narazie tylko łeb, potem sam tułów, i w końcu chwost. Pooszedł! Za minutę jazgoczące psy z nosami przy ziemi. Skoczyłem przez krzaki, aby na jakąś polankę, aby zdążyć zabiegnąć. W gąszczu bielak przecie krótkie pętle robi. Rzeczywiście zawraca! Czekam. Ale coś za bardzo w lewo gonią, na Bronisława, a może na Mamerta. Psia orkiestra gra zaciekle. W klasyczne tony ogarowej symfonii wkrada się fałszywy akord poszczekiwania kundli. W kątku lewego oka coś mignęło. Bielak! Prowadzę go lufami, szukając dogodnej szczeliny między krzakami. Bac! Fałajt! Jest!

Za chwilę dzielę między sobaki chleb i tylne skoki. Psy wzięliśmy w rękę, Mamert prowadzi wprost na Welniaraistis.

Stoję na suchym pępku w rojście. Psy poszły i z punktu rozpoczęły harmider. Ale jakże odmienny od normalnego gonu ogarowego za inną zwierzyną! Nie ma pisków, bachów, hachów, nie słychać charakterystycznego aj, ajaj, ach, aj,— a zwykłe, straszliwie zajadłe szczekanie. Tam szczekają nie trzy, a co najmniej trzydzieści psów! I wciąż w jednym miejscu! Widać bydlę nie chce ruszyć z legowiska i z miejsca opędza się psom. Do psiego jazgotu i hałasu coraz częściej wkrada się obcy dźwięk. To sapanie i chrząkanie wieprza. Harmider przelewa się na prawo, znów na lewo, znów na prawo. Na podmokłym, zielonkawym śniegu widzę sunące w moją stronę trzy cienie. Pierwszy duży, z tyłu dwa mniejsze. Idzie na mnie locha i dwa „parszuki", jak mówi Mamert. Idą na krzywy sztych. Nie strzelam — za daleko i zbyt zasłonięte. Naraz locha widocznie poczuła nieprzyjaciela, śmignęła w bok. Ale jak! Nim zdążyłem zorientować się, już była bezpieczna w gęstych leszczynach. Złapałem na muszkę ostatniego „parszuka" i puściłem w ślad hamantel. Prosiak wyraźnie zaznaczył, ale podążył za matką.

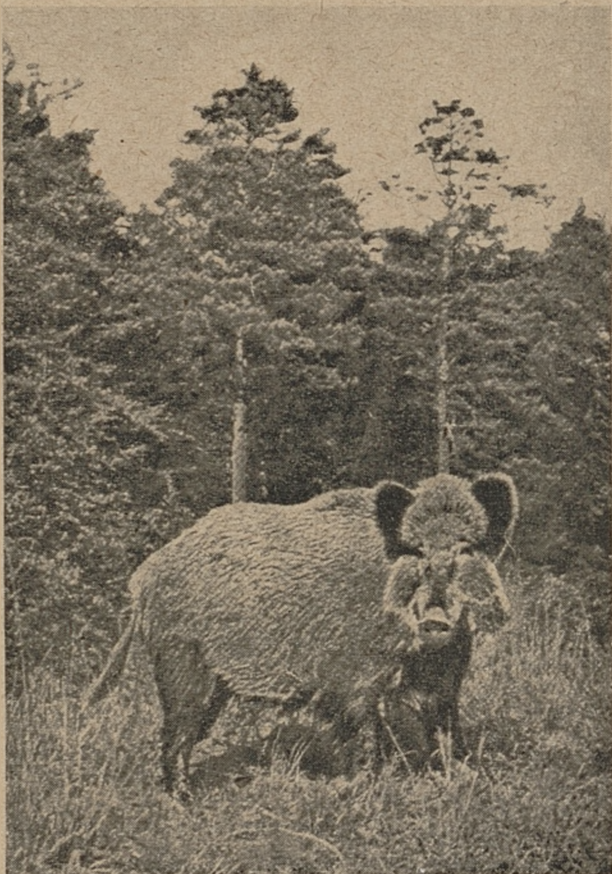
Tymczasem psi harmider nie ustaje, przelewa się to na jedną, to na drugą stronę. Niekiedy rechot świń omal, że nie zagłusza psich głosów. Cała kakafonia przewala się bliżej, w kierunku Zutowta.

Bach, bach! I po chwili znów — bach, bach! I radosny głos Bronka: „Jest cholera, alеż wielka bestja!"

Psy jeszcze szczekają, ale jakoś odmiennie, radośnie, warczą od czasu do czasu.

Idę śladem swojego „parszuka"— leży gotów o kilkadziesiąt kroków. Nikt mi na pomoc w przetransportowaniu zwierza nie przychodzi. Brnę do Zutowta. Machnął piękną sztukę, pewnie ze 120 kilo, a może i więcej. Jak tu wrócić do domu z takimi dwoma walizkami!

Jakoś dobrnęliśmy do gościńca i do Kont. Tym razem byłem znów mokrusieńki, ale od potu. Mamert twierdził, że na jego plecach można z powodzeniem łyżki myć.



»Chaśkiel«

Na imieninach pana Adama pito zasłużone „podzwonne".

L. Hryncewicz
Poniewieżyk, r. 1932

SPROSTOWANIE.

Przez niedopatrzenie korektora w Nr 5 (maj) „Łowca Polskieao" opuszczone zostały nazwiska autorów zamieszczonych w zeszycie rysunków. Otóż, na okładce obok rysunku „Mama z przychówkiem" należy umieścić wyrazy: „rys. S. Rozwadowski", zaś na str. 15-ej, przy rysunku „Jastrząb gołębiarz" należy dodać: „rys. T. Bełżecki".

L. PAC-POMARNACKI.

PRZEZ PRYZMAT EGZAMINÓW

Przymus składania egzaminów łowieckich przy wstępowaniu w szeregi członków nadzwyczajnych P. Z. Ł., a później przy ubieganiu się o tytuł członka zwyczajnego, wywołał w kołach myśliwych prowincjonalnych wiele rozgoryczenia, a nawet obrazy osobistej. Słyszało się utyskiwania i sarkania, że ktoś poluje już od dziesiątków lat, a teraz każą mu raptem składać jakiś egzamin, choć właśnie on raczej mógł by kogoś łowiectwa nauczyć.

Na pozór wydawać by się mogło, że ludzie ci mają istotną rację, ale jednak życie odkryło drugą i smutną, niestety, stronę medalu. Olbrzymia większość tych myśliwych, którzy nie jeden już sezon spędzili ze strzelbą na ramieniu — wykazała kompletne nieuctwo, gdy chodzi o wiedzę łowiecko-przyrodniczą, o przepisy prawne i ideologię myśliwską. Ludzie ci, poza lepszą czy gorszą umiejętnością strzelecką, okazuje się — nie interesowali się wcale łowiectwem i przez wieloletnie polowania nie zdobyli nawet minimum tych wiadomości, które cechować muszą każdego członka P. Z. Ł. w dzisiejszych czasach.

Egzaminy łowieckie wykazują z przerażającą wyrazistością braki wiedzy i kultury łowieckiej wśród najszerszych mas zarówno członków P. Z. Ł., jak i kandydatów na członków. Odpowiedzi w czasie egzaminów bywają, i to niestety wcale nie rzadko, takie, od których, jak się to mówi „oko bieleje".

Na zapytanie np. kto to jest myśliwy — słyszy się odpowiedź, iż jest to człowiek, który myśli, jak zastawić wnyk, dalej, że bóbr jest ptakiem, znoszącym jaja, że lochę pokrywa Kółko Myśliwskie (autentyczne!), a jednym z gatunków gołębi krajowych, jest gołębiarz. Takie i tym podobne „kwiatki" zbiera każda komisja egzaminacyjna, która co prawda nie skąpi w podobnych wypadkach orzeczeń dyskwalifikacyjnych, tym nie mniej jednak stwierdza, że z kulturą łowiecką wśród myśliwych jest bardzo źle i że trzeba temu czym prędzej zaradzić.

Sprawa to bardzo poważna. Myśliwy, pozbawiony najelementarniejszych nawet wiadomości z dziedziny łowiectwa — to szkodnik społeczny, dybiący tylko na resztki ocalałej po wojnie zwierzyny, to niszczyciel zabytków przyrody, to niebezpieczny sąsiad na polowaniu, mogący przyprawić swych kolegów o śmierć czy kalectwo. Egzamin łowiecki jest co prawda, tym zabiegiem selekcyjnym, który umożliwia wyeliminowanie osobników, nie odpowiadających warunkom przyjęcia do P. Z. Ł., jednak poziom kandydatów jest ogólnie tak niski, że komisje egzaminacyjne, o ile by chciały wypełnić w stu procentach swoje zadanie — musiały by tylko pojedyńczym jednostkom stawiać noty dostateczne, dyskwalifikując zupełnie dziesiątki, a nawet setki myśliwych w powiecie.

Jak wynika z powyższego — stoimy wobec konieczności podniesienia za wszelką cenę poziomu kultury łowieckiej wśród najszerszych mas myśliwych miast i wsi, wskazania tym ludziom właściwej drogi, po której winni kroczyć w swej praktyce łowieckiej. Obowiązek ten spoczywa w pierwszym rzędzie na barkach Łowczych i Podłowczych powiatowych, którzy najczęściej stykają się z zarządami Kółek myśliwskich i ich członkami. Rozmowy, organizowanie odczytów lub pogadanek — mogą zdziałać bardzo wiele, omówienie błędów i usterek zauważonych na polowaniu przyczyni się do ich usunięcia w przyszłości.

Ale Łowczowie i tak już są obarczeni wielu obowiązkami z tytułu piastowanego urzędu. Trudno od nich wymagać, by cali, bez reszty oddali się tylko sprawom łowieckim. Ludzie ci mają przecież i inne obowiązki rodzinne, czy służbowe, których także zaniedbywać nie mogą. A sprawa jest pilna, trzeba działać. Muszą im przyjść z pomocą wszyscy dawni członkowie P. Z. Ł., ludzie, którym nie obca jest ideologia naszej organizacji, którzy w myślistwie szukają czegoś więcej, niż sam strzał do pomykającego szaraka, lub wzlatującej kaczki. Do nich w szczególności skierować musimy apel o współpracę nad uświadamianiem ogółu, nad odkrywaniem przed nowym narybkiem łowieckim arkanów etyki i umiłowania przyrody ojczystej.

I jeszcze chciałbym wskazać inną drogę, a drogą tą jest „Łowiec Polski". To nasze pismo łowieckie, interesujące i doskonale redagowane, cieszy się dziś dużym wzięciem u myśliwych, a zgodnie z ostatnią uchwałą władz związkowych — ma docierać w bieżącym roku bezpośrednio do wszystkich członków P.Z.Ł. w całym kraju. Ono właśnie powinno nieść stale tę pochodnię oświaty łowieckiej do miast oraz pod wiejskie strzechy i podawać ogółowi na swych łamach to wszystko, o czym powinien wiedzieć polski myśliwy.

Zadanie to nie jest łatwe, wymaga bowiem od Redakcji pozyskania współpracy wielu i dobrych autorów, o których dziś jest dość trudno, wymaga dalej urozmaiconej i popularnej treści każdego zeszytu pisma, by ono — podając rzeczy fachowe — nie stało się nużącym i nudnym, zrażającym czytelnika. Ożywieniem numeru jest naturalnie beletrystyka, zwłaszcza opisy humorystyczne. Obok wesołego opowiadania, czy barwnej nowelki, każdy najpoważniejszy artykuł naukowy nabiera rumieńców i zostanie przez abonenta cierpliwie do końca przeczytany. A o to właśnie chodzi.

Bo z takiego artykułu przynajmniej coś, jakiś szczegół, pozostanie w pamięci czytelnika, a z owych zapamiętanych szczegółów tworzą się podstawy wiedzy łowieckiej. I mało tego: „Łowiec", przychodzący do chaty wiejskiej czy miejskiego mieszkania, będzie przeczytany nie tylko przez ojca-myśliwego, ale też przede wszystkim przez jego dzieci, łakome w wieku szkolnym na każde słowo drukowane. Otwierają się więc ogromne możliwości propagandowe, o ile poziom artykułów nie będzie zbyt wygórowany, a treść interesująca i ozdobiona możliwie dużą ilością ilustracji, przyciągających czytelnika. Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że dziś przytłaczającą większość abonentów naszego miesięcznika stanowią ludzie, którzy dotąd w swoim życiu pisma łowieckiego nigdy nie czytali i może nawet nie wiedzieli o jego istnieniu. To też teraz dostawszy taki piękny zeszyt do ręki, szukają na jego szpaltach odpowiedzi na cały szereg interesujących ich zagadnień, chcą się z niego nauczyć tego myślistwa prawidłowego, o którym mówi im stale prezes Kółka lub Podłowczy, o które pytają na egzaminach. Szukają w nim odpowiedzi, dlaczego np. wolno zabić szaraka z naganki, czy w kotle, a nie



»Ciekawy tatuś«

wolno „na pomyka" i co to za kombinacja z tymi kalibrami broni, że dwudziesty jest mniejszy od dwunastego.

I „Łowiec" powinien im na to odpowiedzieć, nie zważając, że część czytelników może już znać te rzeczy i pracami takimi się nie interesować. To trudno, trzeba tę mniejszość poświęcić dla większości, pozostawić stado dla zbłąkanej biblijnej owieczki. Zresztą przypomnienie i powszechnie wiadomych rzeczy nie jest zbrodnią, a jak już na początku tego artykułu wspominałem, tych istotnych znawców współczesnego łowiectwa jest ogromnie mało, powiem nawet mocniej — przerażająco mało. Jako członek komisji egzaminacyjnej przy Wojewódzkiej Radzie Łowieckiej, stykam się z ludźmi o różnych zawodach i rozmaitym poziomie umysłowym, lecz naprawdę rzadko słyszy się właściwą odpowiedź, świadczącą o tym, że egzaminowany istotnie ma pojęcie o łowiectwie, albo przynajmniej coś o nim czytał.

Ostatnio utarło się takie przekonanie, nawet wśród działaczy łowieckich, że tych egzaminowanych, których odpowiedzi nie są wystarczające, należy obcinać ostatecznie i przez to samo usuwać z szeregów, naszej organizacji.

Zgadzam się w zupełności, że o ile jakiś inteligent lekarz, sędzia czy profesor opowiada o „gołębiu" gołębiarzu, albo nie wie, że jeleń co roku zrzuca wieńce, to można mu z lekkim sercem postawić na egzaminie pałkę, bo człowiek ten miał przecież możność i środki ku temu, by kupić lub przynajmniej wypożyczyć i przeczytać parę fachowych książek, nie wspominając już o tym, że w szkołach musiał kiedyś uczyć się zoologii i mieć o niej jakie takie pojęcie. A gdyby i nie to, to ze względu na swe stanowisko, obraca się on w gronie ludzi światłych, poruszających przy spotkaniach najrozmaitsze tematy i z samego tylko przysłuchiwania się takim rozmowom wielu rzeczy mógł się przecież dowiedzieć.

Ale weźmy teraz pod uwagę wieśniaka, czy niezamożnego mieszczanina, o których pisałem wyżej, że po raz pierwszy może w życiu zobaczyli pismo łowieckie. Czy to ich wina, że wiedza, z jaką przychodzą na egzamin — jest niewystarczająca? Czy mieli i mają oni dostęp do bibliotek myśliwskich, albo obcowali z ludźmi, od których by mogli tego łowiectwa nauczyć się? Przecież często prezes wiejskiego Kółka i jego członkowie mają w dziedzinie łowiectwa jednakowy zasób wiadomości. A ludzie ci nierzadko wykazują wielki zapał, pragną gorąco czegoś się dowiedzieć, o coś zapytać... Książki myśliwskie i przed wojną nie były zbyt rozpowszechnione, a teraz wogóle nie można ich dostać. Wprawdzie czyni się starania, wydaje ten i ów podręcznik, jak np. ostatnio „Łowiectwo" Krawczyńskiego, ale jest ich jeszcze mało i wydawnictwa te są stosunkowo drogie oraz słabo kolportowane.

Nie odtrącać więc nam wypada takich myśliwych, lecz ich kształcić, śpieszyć z pomocą i ze wskazówkami tym wszystkim, co do których nie mamy wątpliwości, że dadzą się jeszcze urobić na etycznych i świadomych członków P. Z. Ł.

Jako wieloletni współpracownik „Łowca Polskiego" cieszę się ogromnie, że kandydaci, po pomyślnym złożeniu egzaminu, zapytują mnie często, czy będą już teraz otrzymywali to piękne nasze pismo.

I życzę „Łowcowi" szczerze, by nie zawiódł pokładanych w nim przez tych ludzi nadziei.

L. Pac-Pomarnacki.

KAZIMIERZ ŚWIDERSKI.

DIFFICILE EST SATIRAM NON SCRIBERE

Zaiste, sprawa zaczyna być śmieszną. Zapał, z jakim czterysta, jak donosi „Hasło Ogrodniczo-Rolnicze" 1), piór, zabrało się do walki... z zającami — mógłby być użyty z większą korzyścią dla celów poważniejszych. Coprawda, owa cyfra 400 jest znikomą cząstką wobec ogółu sadowników polskich, ale i tego jest zawiele. Głosy tych czterystu, to głosy entuzjastów, stających w obronie zdawałoby się słusznej sprawy, jaką jest ochrona sadów przed zającami, dążących jednak do swego celu zgoła niewłaściwymi drogami. A przede wszystkim, co jest już niedopuszczalne dla środowiska, które powinnoby utrzymywać się na poziomie jedynie poważnym — idących po linii najmniejszego oporu.

Zagadnienie sprowadza się do spisku czterystu autorów listów, którzy postanowili nie ochraniać sadów przed zającami, lecz ubiegać się natomiast o wprowadzenie ustawy, nakazującej wybicie wszystkich zajęcy w kraju.

Tym samym, argument, że zającami interesują się myśliwi, czy ktokolwiek inny, staje się w tej dyskusji zgoła niepotrzebnym. Można sobie przecież wyobrazić na chwilę, że myśliwi przestali polować na zające. Postanowili, dajmy na to, polować na motyle, które nie obgryzają drzewek owocowych. Cóż się wtedy dziać będzie? Sadownicy wszystkich zajęcy nie wytępią, tak samo, jak nie zwalczyli dotąd innych szkodników sadów, jak nornice, mszyce, kwieciak-jabłkowiec, przedzimek itp., wreszcie rozmaite szkodliwe dla sadów grzybki, jak fusicladium, monilia, różnego typu mączniaki, filoksera itd. itd.

Zawsze znajdzie się kilka czy kilkanaście zajęcy, które, zwłaszcza w czasie sroższej zimy, przywędrują nawet zdaleka do nieogrodzonego sadu lub szkółki i „ w ciągu jednej nocy", jak stwierdza autorytatywnie p. Józef Więcławski z Grajewa 2), zniszczą „ponad tysiąc drzewek". (Dowódca hordy zajęcy, która dokonała podobnych spustoszeń, musiał być jakimś Czengis-chanem).

Niech ręka Boska broni, ażeby myśliwi nie zaczęli przypadkiem polować na myszy polne, przynoszące bodaj czy nie większe szkody rolnictwu, niż zające sadom i szkółkom. Za przykładem sadowników, rolnicy mogliby wówczas przerzucić odpowiedzialność za szkody, wyrządzane przez myszy, również na myśliwych.

Argumentacją swoją, cztery setki sadowników podpisują testimonium paupertatis własnej pomysłowości, zaradności i zapobiegliwości.

A właśnie te trzy, niezbędne dla każdego sadownika przymioty, oparte o rzetelne przemyślenie, rozwiązywałyby skutecznie sprawę.

I kiedy to się dzieje? W dobie ogromnego wysiłku całego narodu, który podjął zadanie odbudowy kraju, stanął do wykonania planu trzyletniego, stworzył hasło wszelkiego rodzaju współzawodnictwa, zadziwiając pod tym względem świat cały.

---

1) Nr. 5 — 6, maj — czerwiec, 1948 r., artykuł p. t. „Czy wyłączyć zające spod ochrony".

2) Tenże artykuł.

Przejdźmy do artykułu redaktora Antoniego Gładysza, pod wspomnianym już wyżej tytułem, oraz przytoczonych głosów czytelników „Hasła Ogrodniczo-Rolniczego". Cóż tam znajdujemy?

Oto, na samym wstępie, że „sprawa wyłączenia zajęcy spod ochrony była z dawien dawna przez naszych sadowników przesądzona". Za pozwoleniem! Przesądzać może ktoś, kto jest władny sam decydować i postanawiać. Zatym, sprawa nie jest jeszcze przesądzona. Dalej: „i wreszcie najważniejsza kwestja, dlaczego zające są ochraniane, skoro one większą szkodę **wyrządzają w przyrodzie** (podkreślenie moje), niż dziki, lisy, czy nawet szczury".

Otóż, przyroda i sady lub pola, to nie jest zupełnie to samo, a o szkodach, czynionych przez dziki „w przyrodzie", słyszymy po raz pierwszy wogóle. Co innego, w polach.

Dalszy ciąg: „Z tych setek listów przebija jedna myśl — troska każdego właściciela sadu, żeby mu zające drzewek nie uszkadzały". Rozumiemy tę zacną troskę, ale chcielibyśmy wiedzieć, co czyni się w tym kierunku? Otóż nic, albo tyle, co nic.

Z kolei głosy Czytelników:

Pan profesor dr. A. S. Pieniążek pisze m. in.: „Stanowi on (zając) jedną z przeszkód przy rozpowszechnieniu u nas drzew niskopiennych, takich, jakie ma Związek Radziecki i Ameryka i te państwa, gdzie sadownictwo stoi wysoko".

Nawiasem mówiąc, godne pochwały jest uznanie pana profesora dla niskopiennych drzew owocowych. Pamiętamy bowiem opinje uczonych pomologów, zwalczających ideę szerokiego wprowadzenia w naszym kraju drzewek niskopiennych, propagowaną przez ś. p. Bronisława Gałczyńskiego, uważanego, mniej więcej 20 lat temu za szkodnika sadów owocowych w Polsce, za uporczywe dowodzenie wartości tej metody. Zając, wówczas, jako szkodnik nie istniał.

Wspominając o szkodliwym wpływie zająca na rozpowszechnienie niskopiennych drzewek, zapewne miał Sz. Autor listu na myśli obgryzanie koron tych drzewek przez zające, przy okazji tworzenia się zasp, w wypadkach większych śnieżyc? Walczymy przecież nieraz z różnymi przeciwnościami losowymi. Albo to nie przeorujemy wymarzniętych ozimin, by wzamian zasiać zboże jare. A dlaczego po trzykroć nieraz zmuszeni jesteśmy rozrzucić i suszyć kopki siana na łące, gdy zdarzy się podczas sianokosów deszczowa pogoda?

Mógł sobie zaoszczędzić pan profesor wypominania kosztów dubeltówki, strzałów etc., ponoszonych przez myśliwych, wraz ze złośliwą wycieczką w kierunku wydatków na wyroby monopolowe. Myśliwi uśmiechnęli się tylko dobrotliwie, czytając ten ustęp listu Sz. Autora. Myśliwi nie wiedzą, jakim z kolei namiętnościom hołduje Pan profesor, nic ich to nie obchodzi, w każdym razie uważaliby za nietakt poruszanie, w tonie krytyki, osobistych upodobań Pana profesora.

Uczucie żalu Pana profesora, że „nie zobaczy już na naszych polach swobodnie kicającego zająca, gdy go się wyjmie spod ochrony" (czy to już takie mu-

rowane?), myśliwi, znając się trochę na tym, pragną złagodzić. Zobaczy jeszcze Pan profesor. Nie jednego. Nawet w razie spełnienia życzeń Pana profesora i pozostałych 399 Autorów listów, nie prędko nastąpić może wytępienie zająca. Myśliwym znana jest zasada, polecająca wybicie w łowisku kogutów bażancich „co do jednego", w praktyce absolutnie niewykonalna.

Twierdzenie, że „łatwiej kurę w kurniku zamknąć (dla ochrony przed lisem), niż sad od zajęcy odgrodzić", myśliwi podzielają najzupełniej. Zrozumieliśmy jednak, że część sadowników pragnie zrzucić z siebie ten trudniejszy obowiązek, jakim jest ochrona sadu przez należyte jego ogrodzenie lub zabezpieczenie drzewek drogą właściwego obwinięcia słomą.

Wspomina Pan profesor również o swych uczuciach w stosunku do myśliwych.

Uczucia nie zawsze bywają wzajemne. Myśliwi, naprzykład, żywią dla Pana profesora uczucie sympatii za... wprowadzenie ich w stan dobrego humoru.

Podzielamy również nadzieje Pana profesora, że przedstawiciele Ochrony Przyrody „sprawy jednostronnie" nie potraktują.

Pan profesor dr. Józef Tomkiewicz nazywa zająca „egipską plagą", z którą „najwyższy czas skończyć".

Ja wspomnę o innej pladze egipskiej, jaką jest szkodnictwo w sadach, uprawiane już dawniej przez rabusiów dwunożnych, a wzmożone wielokrotnie po wojnie ostatniej. Dlaczego w pismach ogrodniczych nie poruszono ani razu zagadnienia etyki sadowniczej? Szkodnictwo tego gatunku rozpowszechnione jest do granic, urągających elementarnemu pojęciu cywilizacji. Pod tym względem żaden płot nie uchroni sadu owocowego, czy też ogrodu ozdobnego. Gdybyż tylko kończyło się na zerwaniu owocu, lub kwiatostanu. W barbarzyński sposób obłamywane są gałęzie dla zdobycia nieraz kilku sztuk owocu tylko, lub kiści bzu, Oto temat wdzięczny dla pisujących do pism ogrodniczych i wykładających w szkołach. Jak dotąd, jednak, panuje w tym zakresie cisza. Szkodnicy z rodu homo sapiens są uprzywilejowani. Zając, to dopiero temat.

Resztę cytowanych wypowiedzi można pominąć. Brzmią, jak kolekcja płyt gramofonowych, nagranych na jedną melodię, zatytułowaną — „na pohybel zającowi".

Owszem, należy podkreślić głos zupełnie odrębny. Pan Jan Cisiek z Ożarowa koło Warszawy, pisze: „Plaga zajęcy przysparza mi rocznie około 7.000.— zł. wydatku na zabezpieczenie sadu przed tymi szkodnikami".

O to właśnie chodzi. Zatym, aczkolwiek to kosztuje, można ochronić sad przed zającami. Jest to ważne stwierdzenie. Znajdujemy w tym wydatku analogię do ochrony od ognia, gdy ubezpieczamy budynki. To samo zachodzi przy ubezpieczaniu inwentarzy żywych od padnięcia. Ubezpieczenia te są nawet przymusowe. A czy nie możnaby wprowadzić w życie ustawy, przewidującej przymus zabezpieczania sadów przed zającami?

Zanim jednak ustawa taka ujrzy światło dzienne, nauczmy się kalkulować. Zamiast zakładać sad duży z powziętym zgóry zamiarem, że nie będziemy go chronili przed zającami, zakładajmy sady mniejsze, planując odrazu konieczność racjonalnego zabezpieczenia sadu. Stwierdzam, że ogrodzenie sadu nie jest niezbędne. Posiadałem sad amatorski, nieogrodzony zupełnie, liczący 162 drzewa owocowe, w okolicy, obfitującej w zające, o które zresztą, jako myśliwy, bardzo dbałem. Sad był przezemnie posadzony, czyli miałem do czynienia z drzewkami młodymi. Ani jednej szkody



»Młody zając« *fot. A. Wiśniewski*

nie przyczyniły mi zające w sadzie, jak również w należycie ogrodzonej szkółce. Drzewka w sadzie były skrupulatnie obwijane słomą lub jałowcem, w zależności od posiadanego materiału.

Decydującymi momentami są: wykonanie tego zabiegu we właściwym czasie, oraz tak solidnie, ażeby zając nie mógł dobrać się do drzewka. W razie zamieci śnieżnej, w czasie której zając nie żeruje, na drugi dzień zrana drzewka były kontrolowane, by w razie utworzenia się zasp, śnieg mógł być natychmiast odgarnięty. Zresztą, w okresie czterech kolejnych zim nie zdarzyła się taka potrzeba ani razu.

Natomiast od szkód, czynionych przez ludzi, obronić się nie potrafiłem. Niejakim ratunkiem było zrywanie nawpół dojrzałych owoców, ażeby przynajmniej ochronić drzewka przed połamaniem, będącym dodatkowym wynikiem każdej kradzieży i większą jeszcze stratą, niż strata owocu.

Mam znajomych, posiadających w jednym z miast w okręgu przemysłowym ogródek przy domu, liczący 8 do 10 drzewek owocowych. W roku ubiegłym drzewka pięknie owocowały, przyjemnie było patrzeć. Wystarczyło jednej nocy, ażeby wszystkie owoce, będące na dojrzeniu, zostały oberwane. W tymże ogródku, wiosną, obłamano barbarzyńsko kwitnące bzy. Trzeba było krzewy radykalnie przyciąć i czekać 2 lata na ponowne zakwitnięcie. W tym roku nie poznałem obejścia. Forteca, czy obóz koncentracyjny? Na murze, przeszło dwumetrowej wysokości, umocowano na potężnych podporach z rur żelaznych siatkę drucianą, szerokości 80 cm, a nad siatką 4 sznury drutu kolczastego, z nachyleniem do wewnątrz sadu. Urządzenie to kosztowało 10 razy więcej, niż koszt obwinięcia słomą 100 drzewek owocowych w ciągu kilku lat.

Ze zdań zwolenników wytępienia zająca, jako głównej przeszkody w rozwoju sadownictwa w Polsce, przebija wyłącznie płaska nuta merkantylizmu. Sad tylko dla dochodu! Straty, czynione przez zające, pozbawiają możliwości dochodowych! Idei głębszej ani śladu. Nikt nie wspomniał, że zakładanie sadu pociąga za sobą obowiązki względem tegoż sadu. Drzewko owocowe, podobnie jak każda roślina, to twór żyjący. Dobrym swym wyglądem przemawia do nas, jakby słowami radości, przeciwnie, wygląd zły, pozbawionego opieki drzewka, jest wyrazem skargi. To jest język, którym drzewko przemawia do człowieka, a najlepiej rozumieć go winien właściciel, czy opiekun sadu. Takiej wykładni w czasopismach ogrodniczych nie spotykamy.

Zło tkwi nie w zającu, lecz w człowieku.

Pragnącym wybrnąć tanim i w dodatku cudzym kosztem z kłopotu, należy powiedzieć:

Medice cura te ipsum...

I to bardzo gruntownie.

Zwracam się do myśliwych z całej Polski z wezwaniem do wypowiedzenia się w sprawie poruszonej.

Kazimierz Świderski.

Szczawno-Zdrój, Śl./D.
maj, 1948 r.

ZAPOLSKI-DOWNAR HENRYK.

JAKIM ŚRUTEM STRZELAĆ

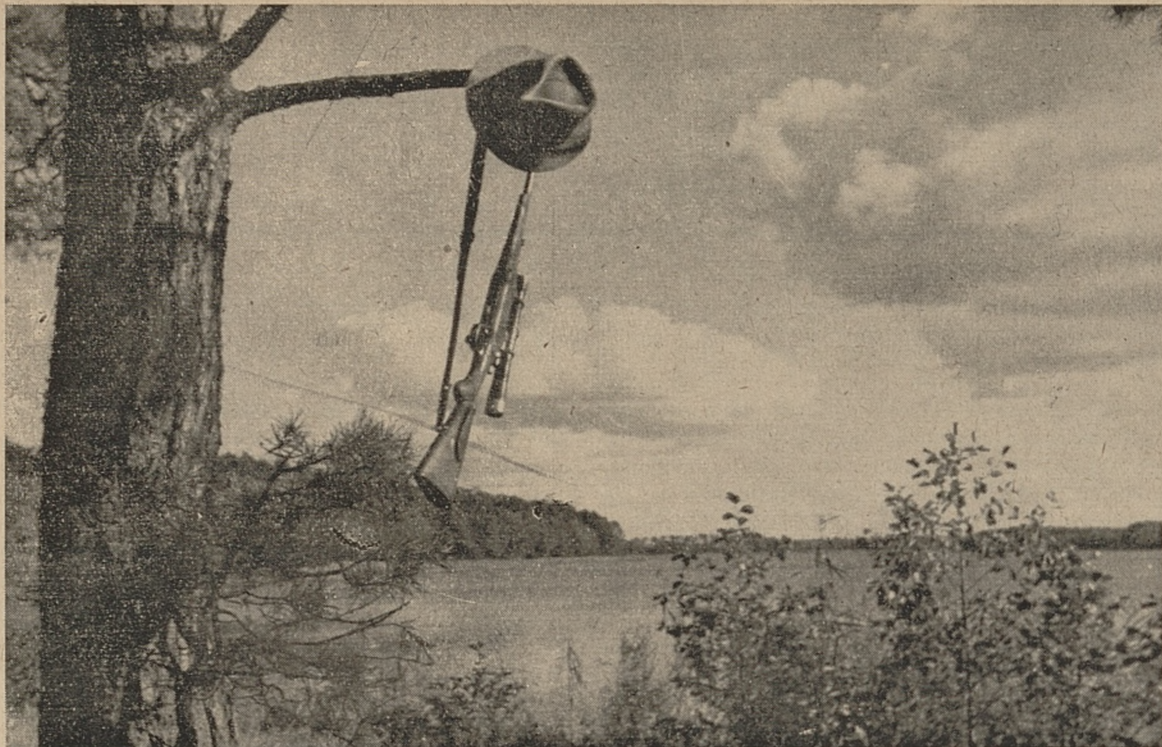
Wyrabiamy śrut rozmaitej wielkości, jak mówimy „grubości"—„cienki", „średni", „gruby"—od 1,25 do 5,50 mm. Mamy przeto 18 wielkości śrutu, określanych wielkością średnicy śruciny w milimetrach lub odpowiednimi numerami. (Z uwagi na odmienny sposób numerowania w różnych krajach, najpraktyczniej określać śrut wielkością jego średnicy).

Grubość używanego śrutu uzależniamy zazwyczaj od wielkości zwierzyny, od kalibru broni i jej właściwości, nadto od pory roku. Im do większej zwierzyny zamierzamy strzelać, tym grubszy bierzemy śrut. Im mniejszy kaliber broni, tym drobniejszego używamy śrutu. Grubość śrutu uzależniamy też od tego, jakim śrutem nasza broń lepiej bije. Wreszcie, gdy w zimie zwierz ma grubsze futro, a chłód osłabia wybuch prochu, używamy śrutu grubszego.

Jakim więc śrutem strzelać?

Przytoczę kilka zdań w tym przedmiocie: J. Radegasta—„Łowiec Wielkopolski", Nr. 6 z 1907 r., W. Korsaka—„Rok „Myśliwego", P. Gastinne—Renette—„La chasse moderne".

Ponieważ wymienieni autorowie określają śrut w numerach według różnej numeracji śrutu w poszczegól-



»W upalne popołudnie« *Z serii nagrodzonej, fot. R. Serwiński*

nych krajach, przerachowałem, dla ułatwienia porównania, numeracje na określenie w milimetrach.

Według zdania tych autorów należy strzelać do odpowiedniej zwierzyny śrutem, o średnicy, jak wykazuje poniższe zestawienie (w mm.):

	Rede gast	Gastinne — Rennette	Korsak	A rozpiętość	B przeciętna	C (proponowane wymiary)	D (proponowane wymiary)
1. lis	3,5	3,75 — 400	3,25 — 4,25	2,75 — 4,25	3,50	3,50	3,50
zając	3,0	2,75 — 3,50	3,25 — 4,25				
2. kaczka	3,0	3,25 — 4,00	3,00 — 3,50				
cietrzew	—	———	2,75 — 3,50	2,50 — 3,50	3,00		
bażant	3,0	2,50 — 3,00	———				
3. królik	3,5	2,25 — 3,00	2,75 — 3,00			2,75	
kuropatwa	2,5	2,00 — 3,0	2,50 — 2,75	2,00 — 3,00	2,50		2.50
jarząbek	—	———	2,50 — 3,00				
słonka	2,5	———	2,50 — 2,75				
4. bekas	2,5	———	2,00 — 2,50				
przepiórka	—	2,00 — 2,25	———	2,00 — 2,50	2,25	2,25	

Myśliwy nie tylko nie ma możności i potrzeby używania wszystkich wielkości wyrabianego śrutu, lecz nawet wszystkich wielkości wykazanych w zestawieniu. Należy zdecydować się na kilka.

Dla zorientowania się w zagadnieniu podzielimy zwierzynę według jej wielkości i wrażliwości na strzał oraz warunków polowania, na cztery grupy: 1) lis, zając, 2) kaczka, cietrzew, bażant, 3) królik, kuropatwa, jarząbek, słonka, 4) bekas, przepiórka. Zestawiając dla każdej z tych grup śrut, zalecany przez wspomnianych autorów, zobaczymy (jak wykazuje rubryka A), że np. do lisa i zająca strzela się śrutem od 2,75 do 4,25 mm., do kaczki, cietrzewia, bażanta — śrutem od 2,50 do 3,50 mm. itd. Określając następnie dla każdej grupy zwierzyny przeciętną wielkość śrutu, otrzymamy zestawienie, jak w rubryce B. Gdybyśmy zamierzali używać nabojów o trzech lub tylko dwóch wielkościach śrutu, wypadłoby wybrać śrut, jaki widzimy w rubry-

kach C lub D. Te trzy — 2,25, 2,75, 3,50 — lub dwie grubości śrutu — 2,50, 3,50 — wystarczą w zupełności w normalnych warunkach polowania. Przy silnych mrozach, wymaganiach broni, strzelaniu wyłącznie do większej lub wyłącznie do mniejszej zwierzyny itp. można użyć śrutu nieco grubszego lub cieńszego.

Obserwując myśliwych spostrzegamy, że naogół używa się zbyt grubego śrutu w obawie, że cieńszy będzie za słaby, zwłaszcza przy strzałach na większą odległość.

Według For-Birge śrut rozmaitej grubości będzie miał szybkość 150 m/sek. — t. j. szybkość wystarczającą do złamania kości — na odległościach:

średnica śrutu w mm	2,0	2,25	2,75	3,00	3,25	3,50	3,75	4,00	4,25
odległość w metrach	40	45	50	53	55	60	65	70	75

Jak widzimy z tego zestawienia, śrut ma wystarczającą siłę uderzenia nawet na dużych odległościach.

Na przeszkodzie do strzelania na większe odległości staje nie zbyt słaba siła uderzenia śrutu, lecz to, że w zwierzynę trafia zbyt mała ilość śrucin. Wskutek rozrzutu śrut omija zwierzynę, choć dla zapobieżenia temu robimy w broni śrutowej zwężenia lub t. zw. czoki.

Dla unieruchomienia zwierzyny winno trafić w nią najmniej 3—4 śruciny odpowiedniej wielkości. Gdy w zwierzynę trafi 1 — 2 śruciny, nawet grubsze, lecz w części ciała mniej wrażliwe na uszkodzenie, zwierzyna zazwyczaj uchodzi.

Używanie cienkiego śrutu ma zwłaszcza dodatnie znaczenie na polowaniu na kaczki, które nawet ciężko postrzelone, będąc w swoim, a obcym dla myśliwego żywiole, łatwo uchodzą, szczególnie, gdy nie mamy psa aportującego.

Słuszność używania możliwie cieńszego śrutu każdy z nas — myśliwych może łatwo doświadczalnie sprawdzić. Wówczas niebawem stwierdzi wybitne zmniejszenie się ilości postrzałków, dobijanych przez sąsiadów, i postrzałków, co niedobite uchodzą, a później giną bez korzyści dla myśliwego i ze szkodą dla zwierzostanu.

Na marginesie poruszę zagadnienie, czy z uwagi na ochronę zwierząt, nie należałoby zaniechać wyrobu zbyt grubego i zbyt cienkiego śrutu. Mianowicie śrutu poniżej 2 mm. i powyżej 4 mm. średnicy. Miarodajnie wypowiedzieć w tym przedmiocie mógłby Polski Związek Łowiecki.

H. Zapolski-Downar.

JERZY OŚWIECIMSKI.

Walka z kłusownictwem w świetle prawa

Sześcioletni okres wojny i okupacji odbił się ujemnie na stronie moralnej społeczeństwa. To też okres powojenny zaznacza się wzrostem przestępczości, zwłaszcza jeśli chodzi o przestępstwa pospolite.

Z przestępczością prowadzona jest energiczna walka i zmiany na lepsze są już widoczne.

Jeśli chodzi o występki i wykroczenia z dziedziny prawa łowieckiego, to sytuacja na tym polu potwierdza ogólną regułę: kłusownictwo, a w szczególności wnykarstwo i polowanie na cudzych terenach łowieckich, przybrało dość znaczne rozmiary. Zaznaczyć wypada, że gdzieniegdzie zakorzenił się od początku i do gruntu fałszywy pogląd, że zwierzyna jest niczyja i każdy, wszędzie i wszelkimi sposobami może na nią polować, lub, że piastowanie takiego czy innego stanowiska urzędowego lub społecznego, taki czy inny uniform, uprawnia do nieprzestrzegania wszelkich przepisów prawa łowieckiego, a w szczególności o nietykalności cudzych terenów łowieckich.

Ze zjawiskiem kłusownictwa spotkał się oczywiście każdy Łowczy Powiatowy Polskiego Związku Łowieckiego na terenie swego powiatu i każde Kółko myśliwskie na obszarze dzierżawionych przez siebie terenów łowieckich. Tak pierwsi jak i drudzy chcieliby wydać kłusownictwu nieubłaganą walkę: Łowczowie, bo to nakazuje im obowiązek ich funkcji, Kółka myśliwskie, bo poza obowiązkiem, dyktuje im to i własny łowiecki interes. Wielu co energiczniejszych i znających się na rzeczy potrafiło znaleźć skuteczne środki walki z kłusownictwem. Inni, którym może też nie zbywa na przedsiębiorczości i energii, nie bardzo sobie jednak zdają sprawę, jak do tej walki przystąpić. Tym ostatnim pragnę poświęcić niniejszy artykuł i omówić prawne sposoby walki z kłusownictwem. Mówię „sposoby prawne”, gdyż poza nimi jest jeszcze repertuar środków, nie wiążących się bezpośrednio z karnymi przepisami prawnymi. Sposoby te nie kolidujące z prawem, są to różne środki, że się tak wyrazić można, „życiowo-praktyczne”, które w zależności od osób, czynników i warunków lokalnych można z dobrym i szybkim skutkiem stosować. Że jednak jest to sprawa dość subiektywna i uzależniona od szeregu okoliczności miejscowych, ogólne omówienie takich sposobów byłoby prawie niemożliwe.

Obowiązujące w Polsce prawo bierze w opiekę zwierzynę i interesy łowieckie i przewiduje kary dla tych, co z prawem wejdą w kolizję. Przepisy karno-prawne zawarte są przede wszystkim w Rozporządzeniu Prezydenta R. P. z dnia 3.XII.1927 r. o prawie łowieckim (Dziennik Ustaw R. P. Nr. 110/27 poz. 934). Rozporządzenie to wprowadza szereg zakazów co do sposobów polowania i przewiduje sankcje karne za ich łamanie. Wyliczać wszystkich przepisów nie będziemy z uwagi. na objętość artykułu, jak i na to, że tekst cytowanego rozporządzenia znaleźć można w podanym numerze Dziennika Ustaw lub, co łatwiejsze, w „Kalendarzu Myśliwskim” na rok 1948, poprzestajemy

więc tylko na podaniu brzmienia tych artykułów, które obecnie mają największe zastosowanie, a mianowicie:

„Art. 75. Grzywną do 50.— złotych karany będzie:

3. Kto ze strzelbą lub innymi narzędziami do łowienia zwierzyny bezprawnie chodzi po cudzych gruntach.

Art. 76. Grzywną do 200.— zł. lub aresztem do czterech tygodni lub obiema karami łącznie karany będzie:

3. Kto poluje w cudzym obwodzie łowieckim bez zgody osoby uprawnionej do polowania".

Dla wyjaśnienia podaję, że Dekret z dnia 26.IV. 1948 r. podwyższył, w związku ze zmianą wartości pieniądza, wysokość grzywien z przepisów prawnych przedwojennych — pięćdziesięciokrotnie.

Kto i jak będzie powyższe przepisy karne stosował mówi inne Rozporządzenie Prezydenta R. P., a mianowicie z dnia 22 marca 1928 r. o postępowaniu karno-administracyjnym (Dz. U. R. P. Nr. 38/28 poz. 365).

A więc do orzekania powołane jest starostwo (referat karno-administracyjny) powiatu, na terenie którego popełnione zostało wykroczenie. Starostwo po przeprowadzeniu rozprawy wydaje orzeczenie karno-administracyjne, w przypadkach zaś oczywistych może wydać nawet nakaz karny bez przeprowadzenia postępowania.

Rozporządzenie powyższe dopuszcza możność wprowadzenia t. zw. postępowania przyśpieszonego i właśnie z tego przepisu skorzystali niedawno Ministrowie Administracji Publicznej, Ziem Odzyskanych i Sprawiedliwości, wydając rozporządzenie z dnia 28.I.1948 r. (Dz. U. R. P. Nr. 6/48 poz. 44), wprowadzające na obszarze całego Państwa przyśpieszone postępowanie karno-administracyjne w sprawach o przestępstwa określone między innymi w art. 75 — 77 i 79 — 81 wyżej wspomnianego prawa łowieckiego. Postępowanie przyśpieszone obowiązuje tylko do końca bieżącego roku. Polega ono na skróceniu terminów i wykonaniu kary grzywny natychmiast.

Praktycznie rzecz biorąc, w razie zaistnienia wykroczenia przeciwko przepisom prawa łowieckiego, należy spowodować spisanie przez Milicję Obywatelską protokółu i przesłanie go do starostwa, celem ukarania winnych. Można też, posiadając personalia winnych, wprost skierować do starostwa doniesienie, z żądaniem ukarania w trybie karno-administracyjnym.

W tym miejscu nie mogę się powstrzymać od uwagi na marginesie, że byłoby niezmiernie pożyteczne, by PP. Łowczowie Powiatowi, dyskontując objęcie rozporządzeniem o postępowaniu przyśpieszonym wykroczeń przeciwko prawu łowieckiemu, przedstawili starostom i referatom karno-administracyjnym starostw oraz Komendom Powiatowym M. O., że władze centralne zwracają szczególną uwagę na walkę z kłusownictwem, i że wobec tego oni winni w swym zakresie do tej walki się przyczyniać. Praktyka przedwojenna wykazała bowiem, że współpraca Łowczych z władzami administracyjnymi dała na polu walki z kłusownictwem dobre rezultaty.

I tak Komendant Główny Milicji Obywatelskiej, gen. Witold, wydał w tej sprawie okólnik Nr. 71 z dnia 26 marca 1946 r., ponadto odpowiednie zarządzenia wydali też Komendanci Wojewódzcy Milicji Obywatelskiej (np. woj. warszawskiego z dn. 27.VII.1947 r. m. st. Warszawy z 5.II.1948).

Poza drogą administracyjną jest też i droga sądowa walki z kłusownictwem. Kodeks Karny z 1932 r. poświęca temu dwa artykuły:

„art. 270. § 1. Kto narusza cudze prawo polowania lub rybołówstwa, podlega karze aresztu do roku lub grzywny.

§ 2. Jeśli sprawca działa zawodowo, podlega karze więzienia do lat 2.

art. 271. Kto względem właściciela lasu, pola, prawa polowania lub rybołówstwa, albo osoby, do ochrony tychże praw upoważnionej, dopuszcza się przemocy lub groźby karalnej w celu przeszkodzenia wykonywaniu lub ochronie prawa, przytrzymaniu na gorącym uczynku naruszającego albo odebraniu narzędzi przestępstwa, podlega karze więzienia do lat 5 lub aresztu".

Na pierwszy rzut oka widać, że przepis art. 270 K. K. zbiega się z przepisem art. 76 p. 3 i 77 p. 4. prawa łowieckiego. W istocie, dzięki może przeoczeniu ustawodawczemu, tak jest, lecz jest to tylko z korzyścią dla walki z kłusownictwem, gdyż w razie naruszenia cudzego prawa polowania, sprawę można skierować tak do sądu, jak do starostwa i każda władza orzeka



»Gra drugi«... *fot. T. Zan*

w zakresie swej właściwości, zaś w razie równoczesnego ukarania, kara surowsza pochłania łagodniejszą.

Praktycznie, postępowanie przed starostwem jest szybsze, zwłaszcza jeszcze teraz, gdy obowiązuje postępowanie przyśpieszone. Postępowanie natomiast przed sądem jest powolniejsze, ale kary za to są znacznie surowsze. Należałoby chyba radzić, by w wypadkach mniejszej wagi, gdzie trzeba szybko ukarać, zwracać się do starostwa, zaś, gdy chodzi o sprawę poważniejszą lub gdy wchodzą w grę inne względy, udawać się do sądu.

O postępowaniu przed sądami karnymi mówi Kodeks Postępowania Karnego, który przewiduje, że sprawy o przestępstwa z art. 270 K. K. rozpoznaje sąd grodzki, zaś sprawy o przestępstwa z art. 271 K. K. sąd okręgowy właściwy według miejsca popełnienia przestępstwa. Sprawy z art. 270 K. K. należy kierować za pośrednictwem Milicji Obywatelskiej lub bezpośrednio do sądu, sprawy z art. 271 K. K. do prokuratora.

Tak w ogólnych zarysach przedstawia się walka z kłusownictwem w świetle prawa. Należy mieć nadzieję, że artykuł niniejszy wyjaśni dostatecznie sposoby walki. Dla całokształtu sprawy i unikania w przyszłości nieporozumień, pragnę jeszcze podkreślić, że

wiele osób zupełnie błędnie wyobraża sobie rolę sądów łowieckich i sprawy o kłusownictwo chciałoby poddać ich rozpoznaniu. Należy wyjaśnić, że tak § 60 statutu Polskiego Związku Łowieckiego, jak regulamin postępowania przed sądami łowieckimi wyraźnie określają, że sądy łowieckie rozpatrują sprawy o czyny niezgodne z etyką myśliwską. Kłusownictwo zaś jest czymś dalej sięgającym i winno być karane przez organy państwowe. Poza tym sądy łowieckie mogą rozpatrywać sprawy tylko między członkami Polskiego Związku Łowieckiego. A już w największym błędzie są ci, którzy by chcieli od sądów łowieckich żądać przeprowadzenia dochodzenia, jak np. ustalanie nazwisk na podstawie numeru samochodu itp. Inną sprawą jest pomoc ze strony Łowczych Powiatowych. Aczkolwiek dochodzenie i zbieranie danych winna przeprowadzać Milicja Obywatelska, czy, ewentualnie zainteresowani, to jednak Łowczowie Powiatowi, tak częściowo z obowiązku, jak i z poczucia solidarności oraz w imię wspólnej sprawy, powinni w miarę swych możliwości okazywać pomoc w ustalaniu różnych danych czy tymbardziej w interwencji u władz.

Wyżej podane przepisy o postępowaniu karno-administracyjnym stosują się do ogółu obywateli, a więc i do osób podlegających sądownictwu wojskowemu (art. 60 wyżej cyt. rozporz. o postępowaniu karno-administracyjnym). Natomiast osoby podlegające sądownictwu wojskowemu, jeżeli popełnią występek z art. 270 czy 271 K. K., nie mogą być sądzone przez sądy powszechne, lecz przez sądy wojskowe.

Co się tyczy osób wojskowych oraz funkcjonariuszów służby bezpieczeństwa (z milicją włącznie) to przypomina się, że: 1. Naczelny Dowódzca W. P. Marszałek Rola-Żymierski wydał rozkaz Nr. 148 z 12. VII.1945 r. w sprawie uprawiania myśliwstwa przez wojskowych. 2. Minister Bezpieczeństwa Publicznego wydał okólnik Nr. 66 z 13.11.1946 r. w sprawie uprawiania polowania przez funkcjonariuszów służby bezpieczeństwa. Oba te zarządzenia zabraniają polowania w sposób niezgodny z prawem łowieckim i przewidują pociąganie do odpowiedzialności służbowo-dyscyplinarnej winnych niestosowania się do nich. Możliwości skierowania ewentualnej sprawy tym trybem są rozmaite. Praktycznie najlepiej to robić za pośrednictwem Łowczych Powiatowych czy nawet Wojewódzkich Rad Łowieckich, które sprawę, o ile są dostateczne dane, skierują w odpowiednie miejsce.

Na zakończenie chciałbym zauważyć, że o wszczęciu sprawy o kłusownictwo tak w trybie karno-administracyjnym, jak i sądowym, a już bezwzględnie o zapadnięciu orzeczenia starościńskiego czy wyroku sądowego należy powiadamiać Wojewódzkie Rady Łowieckie. Statut Polskiego Związku Łowieckiego przewiduje, że członkiem Związku nie może być osoba karana z wyżej przytoczonych przepisów prawa łowieckiego i Kodeksu Karnego i że Rady Wojewódzkie posiadają uprawnienia wykreślania członków. Stąd wniosek, że ukarany za kłusownictwo zostanie wykreślony z listy członków Polskiego Związku Łowieckiego, a co zatym dalej idzie, zostanie mu cofnięte pozwolenie na broń myśliwską. Jest to bardzo ważna prerogatywa, a praktyka niektórych Rad Wojewódzkich idzie nawet dalej, a mianowicie w kierunku zawieszania w prawach członków już nawet tych, przeciwko którym zostało wszczęte postępowanie karno-administracyjne lub sądowe o kłusownictwo.

Przytoczone w niniejszym artykule sposoby prawne walki z kłusownictwem stwarzają szerokie możliwości zwalczania tego zjawiska. Oddając na usługi Kolegów-Myśliwych ich wyliczenie i omówienie, życzę w walce z kłusownictwem walnego zwycięstwa.

Jerzy Oświecimski.

Dr. JERZY BŁESZYŃSKI.

ŁOWIECTWO A SPOŁECZEŃSTWO

Chociaż łowiectwo zalicza się do jednej z najstarszych form gospodarki ludzkiej, to jednak śmiem twierdzić, że na żadną z dziedzin gospodarki nie ma tak błędnego, a raczej błędnych poglądów, jak właśnie na łowiectwo.

W skrócie poglądy te można ująć:

1) łowiectwo — to pańska zabawa,
2) łowiectwo — to rzeź niewinnych stworzeń,
3) łowiectwo — to sport,
4) łowiectwo — to dostarczenie zająca, czy innego zwierza do garnka.

Otóż ten ostatni pogląd, to jest „dostarczenie mięsa do garnka", jest najbliższy istocie łowiectwa, choć tego rodzaju zdanie wywołać może i wywoła zapewne srogą burzę.

Aby zbytnio nie marnować papieru, ograniczę się do następujących wywodów. W swych najpierwotniejszych założeniach łowca dostarczał zawodowo mięsa na pożywienie, skóry na odzież i okrycie oraz kości i rogów na narzędzia dla swej gromady. Jako objaw wtórny wynikło współzawodnictwo w dostarczaniu ilości, a potem i jakości trofeów, które służyły zdobnictwu i upiększaniu.

To pierwotne i podstawowe założenie, jak i jego objawy wtórne, dotrwały do dnia dzisiejszego, oczywiście w przeróżnych objawach, zmierzających zarówno do utrzymania równowagi między tymi dwoma pierwiastkami, jak i do niezmiernie skrajnych odchyleń, które nazwać można zwyrodnieniem łowiectwa.

Takiemi skrajnościami są gromady strzelców, które z niemałym wysiłkiem wydeptują wielokrotnie każdy zagon, aby zabić ostatniego zająca, czy ostatnią kuropatwę, jak również gromady strzelców, ustawionych w koło, w środku którego z klatek, czy worków, wypuszcza się króliki.

Takimi skrajnościami jest strzelanie do wszystkiego co żywe, na każdą odległość, bez zastanowienia, czy ubita zwierzyna może być podniesiona i w jakikolwiek sposób zużytkowana. Obojętne, czy strzelanie takie ma miejsce z pociągu afrykańskiego do stada antylop, czy na naszych polskich stawach i jeziorach do ptactwa wodnego.

Myśliwy, któremu dozwolone jest posiadanie broni

i udzielone prawo polowania, winien przede wszystkim pamiętać, że uprawnienia te są nietylko przywilejami, uprawniającymi go do wybijania wszystkiego co żywe, lecz nakładają nań obowiązek gospodarowania planowo zwierzyną w łowisku.

Gdy ten obowiązek wysunie się na czoło spraw myśliwskich, jeśli stanie się podstawą gospodarki łowieckiej, wtedy dopiero myśliwy polski będzie mógł ze spokojnym sumieniem odpowiadać na różne mniej lub więcej złośliwe sądy o łowiectwie.



»W oczekiwaniu na sezon«

Każdy myśliwy winien pamiętać, że każde łowisko może i powinno wyżywić i wychować pewną minimalną ilość dzikiego zwierza. Jego obowiązkiem jest dokładać wszelkich starań, aby to minimum zostało przekroczone, gdyż do odstrzału winna być przeznaczona nadwyżka.

Każde łowisko może wykarmić i wychować pewną maksymalną ilość dzikiego zwierza, przyczem pamiętać trzeba, że maksimum nie powinno być przekroczone, wywołuje bowiem zwyrodnienie i zarazy.

Oczywiście, że maksimum wychowanej zwierzyny daje maksimum odstrzału. I to jest cel, do którego gospodarka łowiecka winna dążyć. Im bliżej tego maksimum będzie łowiectwo, tym większy będzie jego wkład w gospodarkę narodową, tym większe może wysuwać żądania ochrony swych praw i obyczai. Wszystkie inne zagadnienia, to sprawy dalsze, uboczne, chociaż niejednokrotnie uczuciowo tak związane z myśliwym, że przyćmiewają założenia najważniejsze.

Zagadnienia, które nazywamy uczyciowymi, będą łatwiej dostępne, jeżeli naczelne zagadnienie będzie właściwie urzeczywistniane. O tym musimy nietylko pamiętać okolicznościowo, ale stale, nietylko kiedy bierzemy broń do ręki, ale także w okresach ochronnych, kiedy olbrzymia większość myśliwych o tym zwykle zapomina.

J. Błeszyński.

WŁODZIMIERZ KIERWIŃSKI.

KOTŁY CZY MIOTY

Każdy racjonalny myśliwy i każde racjonalnie gospodarujące stowarzyszenie łowieckie dąży do podniesienia stanu zwierzyny na swych terenach; walczy z kłusownictwem, podkarmia zwierzynę, wpuszcza żywą itd, zapominając niejednokrotnie jeszcze o jednym ważnym czynniku, wpływającym ujemnie lub dodatnio na stan zwierzyny, którym jest sposób polowania. Zajmę się specjalnie sposobem polowania na zające **t. zw. kotłami**.

Nie wiem skąd wziął się ten zwyczaj, w każdym razie powinien być zarzucony, jeżeli chcemy mieć odpowiedni stan zajęcy.

Jeżeli w lasach stosujemy pędzenie (mioty), to dlaczego nie możnaby było stosować tego samego w polu? Będąc propagatorem zaniechania polowania w kotły, a przejścia na pędzenie polne, muszę uzasadnić, przedstawiając ujemne cechy kotłów i dodatnie pędzeń.

Kotły. Doświadczenia wykazały, że około 30% zajęcy (procent ten dochodzi nieraz do 50-ciu) w stosunku do zabitych zajęcy, wychodzi z kotła ranne. Zające takie giną bez pożytku dla polujących. Procent ten ulega wahaniom w zależności od zdolności strzeleckich i etyki polujących. Przyczyną tak dużej ilości postrzelonych zajęcy jest strzelanie w kotłach na nadmierne odległości, gdyż większość myśliwych w obawie, że zając skręci na sąsiada, śpieszy z oddaniem strzału. Aby sobie zapewnić „ciąg” zajęcy, robi też duże luki (odległość naganiacza od myśliwego). Luki takie powstają zresztą i przypadkowo np. gdy naganiacz oddali się z kotła po zastrzelonego zająca.

Mogę zapewnić kolegów-myśliwych, że zabicie na miejscu zająca na te duże odległości jest raczej rzeczą przypadku, zaś większość daje tylko postrzałki.

Kocioł jest przyczyną częstych i nieprzyjemnych sporów i zatargów, gdyż rzadko znajdzie się tak idealny zespół myśliwych, w którym ktoś nie zrobił by „gruszki” lub nie wszedł do środka kotła. Często obserwuje się w kotle, że jedna strona kotła posuwa się powoli, często przystając, druga natomiast posuwa się krokiem normalnym „robiąc naganką” dla innych, kiedy zaś zając się pokaże, wówczas część kotła zatrzymuje się. A ileż sporów powstaje, gdy zając padnie strzelany przez kilku myśliwych?

Istnieje też zwyczaj „przestrzeliwania” się wzajemnego, by osiągnąć tak zwane „królestwo”, wówczas nawet zupełnie etyczni i dobrzy myśliwi stosują różnego rodzaju sztuczki, by osiągnąć swój cel. Wybijanie ostatnich zajęcy, które pomykają, gdy jest już sygnał „naganka do środka”, również nie może przyczynić się do ochrony zwierzostanu.

Częste są wypadki, że na polowanie w kotły zjawi się nadmierna ilość myśliwych (były wypadki, że brało udział około 40-tu myśliwych), natomiast naganka nie dopisała. Wówczas każdy zając w kotle jest strzelany, a ile z nich rannych? Na marginesie chcę dodać, że, aby kocioł możliwie się udał, ilość myśliwych nie powinna przekraczać 15-tu i tyluż przynajmniej po-

winno być naganiaczy. Również utrzymanie w należytych karbach zespołu myśliwych polujących kotłami iest syzyfową pracą dla łowczego.

Pędzenie (mioty). Doświadczenia wykazały, że ilość postrzelonych zajęcy nie przekracza 5%, bo strzela się na niewielkie odległości, regulowane przez łowczego ustawianiem myśliwych w pewnych odstępach. Ma się rozumieć, że pewna ilość zajęcy cofnie się do tyłu lub wyjdzie skrzydłami, ale zające te nie będą strzelane i wyjdą zdrowe. W pędzeniach może brać udział dowolna ilość myśliwych, wówczas jedynie opolowuje się większą przestrzeń. A jak ułatwioną będzie miał rolę prowadzący polowanie! Nie będzie sporów o zająca strzelanego przez kilku, nie będzie też t. zw. „drugiej „naganki" z psami, czekającej na postrzałki poza kotłami.

Wielu, zwłaszcza młodych myśliwych, nie orientuje się w istocie polowania sposobem pędzeń w polu, o czem przekonałem się niejednokrotnie w rozmowach. Dlatego uważam za stosowne podać krótko, jak pędzenie w polu wygląda, poza tym radzę spróbować i przekonać się.

Łowczy (prowadzący polowanie) ustawia myśliwych na linii w odległościach, zapewniających strzał na normalną odległość (myśliwy od myśliwego na odległość nie większą, jak 100 kroków). Na skrzydłach można też postawić jednego do dwóch myśliwych. Na stanowiska myśliwych należy w miarę możliwości wybierać linię, dającą możność częściowego zamaskowania się, a więc będą to drogi, miedze, rowy, skraje lasów.

Naganka ustawia się równolegle do linii myśliwych w odległości 500 do 1000 metrów, wysuwając kilku naganiaczy na skrzydłach. Na dany sygnał (po ustawieniu myśliwych) naganka rusza w kierunku na linię myśliwych, posuwając się równo i wolno. Gdy naganka dojdzie do linii myśliwych na odległość niebezpieczną dla strzału, prowadzący polowanie daje sygnał, wówczas strzelać można tylko do tyłu (poza siebie). Dla uniknięcia ewentualnych wspólnych strzałów, są siadujący myśliwi wyznaczają sobie jakiś punkt pośredni, który jest punktem rozgraniczającym strzelanie.

Na zakończenie chciałbym dodać, że szereg racjonalnie gospodarujących Kółek Łowieckich, przeszło już na system pędzeń polnych, eliminując zupełnie kotły, a rezultaty mają lepsze jak w kotłach.

Tegoroczne Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego Województwa Warszawskiego uchwaliło jednomyślnie zabronić polowania kotłami.

Włodzimierz Kierwiński.

Warszawski Łowczy Wojewódzki.

W ubiegłym sezonie zimowym odbywało się polowanie w kotły. W jednym kotle znalazły się dwa lisy i zabudowania wiejskie. Gdy kocioł się skończył w pobliżu zabudowań stwierdzono, że lisów nie ma, przypuszczalnie ukryły się wśród zabudowań. Myśliwi z nabitymi strzelbami rozpoczęli przeszukiwanie zabudowań. W pewnym momencie jeden z nemrodów zauważył łeb wystający z psiej budy — strzelił i... zabił psa na łańcuchu.
(autentyczne).

MEWY WE WROCŁAWIU

W drugiej połowie marca b. r. Wrocław nawiedziła wielka ilość mew z gatunku Laruś ridibundus L., mewa śmieszka. Te piękne ptaki o wspaniałym locie zawędrowały do Wrocławia z kolonii gniazdowych z nad jeziora Kunickiego koło Legnicy i z północnych rubieży Śląska, gdzie leży obszar jezior i stawów wśród rozlewisk rzeki Baryczy, dopływu Odry, o 50 km. na północ od Wrocławia.

To śląskie Polesie zaludniają rzadkie gatunki świata ptasiego. Z tego raju ptasiego, którego elementami są las i woda, podążyły do Wrocławia mewy śmieszki. Przepiękny to był widok, gdy setki mew latało uporczywie koło mostów odrzańskich we Wrocławiu, pilnie wybierając z wody wszelkie odpadki, względnie chwytając w locie kawałki bułki, rzucane przez rozbawioną dziatwę wrocławską. Mewy stanowiły prawdziwą wiosenną atrakcję i ozdobę Wrocławia. Niejeden przechodzień mógł obserwować, jak mewy żerując unosiły się nad powierzchnią wody z głową nachyloną w dół, badając powierzchnię wody, a gdy zauważyły zdobycz, zatrzymywały się na miejscu, trzepocąc skrzydłami, pilnie przyglądając się jej przez chwilę, poczem zwinąwszy skrzydła, uderzały w wodę i chwytały swą ofiarę dziobem.

Biją one na zdobycz tak silnie, że lekkie ich ciało zanurza się do pół metra pod powierzchnię wody. Mewy nie tylko latają, czy też szybują, poruszając powoli i miękko skrzydłami, nie tylko nurkują dobrze, uderzając w wodę wprost z powietrza, lecz również chodzą wspaniale i szybko, towarzyszą oraczom, wybierając pilnie gąsienice, dżdżownice czy też poczwarki chrabąszcza majowego. Na Dolnym Śląsku to zjawisko spotyka się często.

Postać i ubarwienie mew są piękne. Głowa dość duża, dziób silny. Upierzenie jest gęste i puszyste, w ubarwieniu subtelne, choć jednostajne. W dojrzałem upierzeniu charakterystyczną jest czarna głowa. Głosy wydają nieprzyjemne, składające się z dźwięków donośnych i skrzeczących. W stosunku do innych zwierząt zachowują się odważnie. W małżeństwie wykazują silne przywiązanie i skłonność do poświęceń, potomstwem opiekują się bardzo starannie. W okresie gniazdowania, który przypada na kwiecień, obserwowana jest szczególna ruchliwość tych ptaków, tworzą kolonje, dochodzące niekiedy do ogromnej ilości osobników.

Mewy są typowymi ptakami wybrzeży, a dla okrętów nieomylnymi zwiastunami bliskości brzegów. Towarzyszą okrętom, lecąc uporczywie za nim, starannie wybierając z wody wszelkie odpadki. Na otwarte może oddalają się rzadko, chętniej wzdłuż rzek zapędzają się w głąb lądu, gdzie wśród sprzyjających warunków gnieżdżą się na wybrzeżach rzek, stawów, jezior i błot, jak to ma miejsce na Dolnym Śląsku, nad Baryczą koło Milicza.

Julian Karolini

Asyst. Uniw. Poznańsk.



»W krainie perkozów i dzikich kaczek« *Z serji nagrodzonej, fot. J. Walkowski*

MARIAN NIEWCZAS.

O ZNOWELIZOWANIE PRAWA ŁOWIECKIEGO

Od ustąpienia okupanta upłynęły przeszło trzy lata, a myśliwi nie posiadają do tej pory swej ustawy i prawa, którymi mogą się rządzić.

Jest wprawdzie projekt nowej Ustawy, który otrzymały Rady Powiatowe Łowieckie do wglądu. Jako stary myśliwy, członek dawnego i obecnego Związku Łowieckiego, brałem udział w dyskusji nad projektem tej Ustawy w naszej Radzie Powiatowej. Upłynął jednak znowu rok od tego czasu, a Ustawy myśliwi w dalszym ciągu nie posiadają.

Dotyczy to również Regulaminów Kół Łowieckich, które według mego zdania, winny być opracowane przez Główny Zarząd Związku Łowieckiego w jednym duchu dla wszystkich Kół w całej Polsce. Do tej pory nie wiele się omylę, gdy powiem, że 80% Kół nie posiada poza Statutem żadnego Regulaminu. Przez brak odpowiedniej ustawy z konieczności wychodzi mnóstwo zastępczych zarządzeń, które w większości do Kół terenowych nie docierają.

Musimy sobie jasno i otwarcie powiedzieć, że w tej dziedzinie dużo jest jeszcze braków, które musimy wspólnymi siłami jak najszybciej usunąć. Korzystając z takiej sytuacji kłusownicy niszczą resztki naszego zwierzostanu i niebawem może nam pozostanie po jednej symbolicznej parze każdego gatunku, jak do arki Noego.

Wiemy o katastrofalnym stanie naszego zwierzostanu, który powinien stanowić poważną pozycję w Gospodarce Narodowej. Musimy jak najszybciej zmusić gminy do organizacji obwodów łowieckich, wspólnie z Łowczymi, zarejestrować te obwody, wybrać i zarejestrować Spółki Łowieckie, oraz ogłaszać w „Łowcu Polskim" do wydzierżawienia takie tereny, aby Kółka łowieckie mogły jeszcze w sezonie martwym tereny te wydzierżawić i roztoczyć opiekę w czasie lęgów i wykotów. Możemy być pewni, że na takie tereny kłusownik co raz mniej będzie zaglądał.

Ze względu na mały wpływ na Rady Powiatowe i Gminy, które nie zatwierdziły obwodów łowieckich, wydzierżawienie obwodów w obecnej chwili jest rzeczą jeżeli nie wprost niemożliwą, to zawsze nader skomplikowaną. Wyjeżdżając za takiemi obwodami napotyka się na cały szereg trudności z braku odpowiednich instrukcji. Czyja to wina trudno się domyślić. W tym celu myśliwi sami „urabiają" wójtów, sołtysów itd., wreszcie zwołują zebrania, które odbywają się, ale pożal się, Boże! Na decyzję czeka się całymi tygodniami i miesiącami. Myśliwy wydał sporo pieniędzy, stracił dużo czasu i w rezultacie z tej czy innej przyczyny terenu nie wydzierżawił i na dalsze pertraktacje machnął ręką. Teren nadal został dla kłusownika.

Ten stan rzeczy winniśmy jak najszybciej zlikwidować. Mając na uwadze powyższe sprawy i w dodatku doceniając powagę Wielkiego Protektora naszego Związku, winniśmy żądać jak najrychlejszego ogłoszenia nowej Ustawy łowieckiej, poczem niezwłocznie przystąpić do normalizacji warunków łowieckich i stanąć w pierwszych szeregach do pracy nad odrodzeniem łowiectwa polskiego.

M. Niewczas
Państwowa Fabryka Amunicji.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

PLAGA DZIKÓW I WCZASY MYŚLIWSKIE

Nie spodziewałem się, że kol. Marian Łopuszyński zamieści w „Łowcu Polskim" artykuł tak wybitnie polemiczny.

Nie mogę pozostawić go bez odpowiedzi, chociaż w swoim wystąpieniu kolega okazuje mi nielada względy i prawi dusery. Ale cóż, w ujęciu samego tematu nie ma racji — jest osobisty żal i uraza, które należałoby skierować raczej do Św. Huberta; jako święty, daleko więcej wytrzyma, niż zwykły śmiertelnik.

Incipiam. Plagi dzików nie ma. To, co piszą gazety, nie jest ani trochę fachowe. Istotnie, szkody są i to dość znaczne, które czynią dziki. Ale czyż tak nie było zawsze? Szkody występują w tutejszych warunkach jaskrawiej, ze względu na dużą jeszcze przestrzeń odłogów i na uparty (choć niekorzystny) siew żyta po ziemniakach, sprowadzający na te pola napaści dzicze zimą. Plagi dzików nie ma, gdyż dokonywany jest odstrzał różnego rodzaju.

O redukcyjny, nie potrzebował się dotychczas nikt zbytnio troszczyć, gdyż wyręcza wszystkich rozpanoszone do ostatecznych granic kłusownictwo, szerzące kolosalne spustoszenia wśród wszelkiej zwierzyny. Kłusownicy polują grupami, bandami, z naganką, z psami — jak się da. I gdy tylko uda się im wziąć na oko gdziekolwiek jakieś stado — obojętne: dzików, jeleni czy sarn — terkoczą karabiny, a nawet pepesze, i padają w ogniu, lub po wielu dniach męki w kniei, dziesiątki, dziesiątki, dziesiątki — w tem również dzików.

Selekcyjny odstrzał do dzików nie ma zastosowania.

Pozostaje odstrzał myśliwski na polowaniach zbiorowych lub na indywidualnych zasiadkach, wreszcie na wczasach. I tu idzie, jak da Św. Hubert.

Ale jedno z drugim, dziki są odstrzeliwane w miarę i czasem ponad miarę, a więc tu muszę przyznać rację Koledze Marianowi, że plagi dzików nie ma i jego ironia w stronę reporterów prasowych jest na miejscu.

Jednak występuje obfitość dzików — myśliwska, dobrze widziana obfitość — i jest do czego strzelać. Mój Boże, nie możemy wymagać wszyscy, aby zawsze na nas wychodziły same odyńce. Warchlaki muszą się wszakże rodzić i tych zawsze jest w kniei najwięcej.

Kolega Łopuszyński narzeka, że w ciągu czterech dni polowania pięciu myśliwych, przy dwóch psach, widziało tylko 10 dzików, z czego ubito trzy sztuki. Znam inny przypadek, w którym w tym samym czasie jeden myśliwy w ciągu siedmiu dni wczasów ubił w Bałtyckiej Dyrekcji L. P. 7 dzików (siedem). Także z psami.

Gdy Kolegę Łopuszyńskiego wyprawiałem na wczasy, to oczywiście chciałem mu dać dobre Nadleśnictwo i takie, które posiada dzikarzy. Ten pojedyńczy myśliwy, pojechał więcej „na chybił-trafił". No i trafił. To jego szczęście, przyznać trzeba, że większe, niż kolegów z ekipy Kolegi Łopuszyńskiego.

A czy Koledze Łopuszyńskiemu nie jest wiadome, że dziki, zwłaszcza dosyć niepokojone w swych ostojach, często lubią na całe tygodnie i dłużej zmieniać gremialnie miejsce pobytu? Tak właśnie musiało się stać z dzikami w Nadleśnictwie Złociniec, gdzie dzików było dość. I niech Kolega nie myśli, że, gdyby prócz psów rozporządzał 20 — 30 naganiaczami, poszłoby mu lepiej. Nawet może odwrotnie — tak uczy nas doświadczenie.

Następnie Kolega Łopuszyński wyrzuca Ministerstwu Leśnictwa zastrzeżenie w regulaminie „Wczasów Myśliwskich" co do stosowania naganek. Kolego, wyobraźmy sobie, że tego zastrzeżenia nie byłoby wcale, dalej, że byłaby jeszcze większa obfitość dzików, powiedzmy „pół plagi", dalej, że to ściągnęłoby dziesiątki ekip wczasowiczów w sezonie (gdyż do tego z pewnością dojdzie i bez plagi dzików, bowiem tereny tutejsze naprawdę rokują wielkie nadzieje dla myśliwych).

Dalej, wyobraźmy sobie, że każda ekipa używałaby przez 4 — 7 dni naganek, po 20 — 30 chłopa! To wie Kolega, co by wówczas się stało? Ministerstwo Leśnictwa, wobec niedostatecznego jeszcze zaludnienia tych okolic, wobec trudności w zdobywaniu robotnika leśnego, nie zdołało by wykonać planu cięć zrębów zimą. A co jest ważniejsze? Wreszcie, to jest Ministerstwo Leśnictwa, a nie Myślistwa.

Prócz tego (nie spodziewałem się tego po Koledze) zarzuca Kolega Dyrektorowi Lasów Państwowych Okr. Bałtyckiego, że nie przyjechał na wspólne polowanie, a że wskutek tego Nadleśniczy posłał wczasowiczów na „okrawki", nie dopuszczając do centralnej kniei („mateczniki"— co?), która była zarezerwowana naprożno. Gdyby Kolega był na miejscu inż. Podkówki, to przy szczerym zresztą ujęciu tej sprawy z myśliwymi, jak to obaj uczyniliśmy — zrobiłby to samo, t. j. jakiś określony teren zatrzymałby na wspólne jednodniowe polowanie, chociaż nie mogło być żadnej pewności, że tam właśnie skoncentrują się dziki na wybrany termin — wszak prawda?

Wyjeżdżając ze Szczecinka w teren, Koledzy byli o tym zamiarze uprzedzeni i chętnie na to się zgodzili, bo któż rozsądny nie miałby się zgodzić. Czy z psami, czy z naganką, na tym czy innym terenie, polowało się trochę na ślepo, z powodu braku pokrywy śnieżnej.

Ale po odbytych wczasach mieć w tej materii pretensje, żal i ogłaszać w „Łowcu Polskim" w dość cierpkiej i trochę nawet nie dżentelmeńskiej formie, to, Kolego Łopuszyński, fe! Czyż w przekonaniu Kolegi, Dyrektor Lasów Państwowych nic innego nie ma do roboty, tylko urządzanie polowań dla wczasowiczów-myśliwych? Pragnę wierzyć — na usprawiedliwienie Kolegi w oczach własnych — że pisał swój artykuł po... „lemoniadzie" w powrotnej drodze z wczasów.

A w końcu niech Kolega nie ma pretensji o to, że go wprowadziło w błąd ogłoszenie o obfitości dzików. Ta „obfitość myśliwska"— z całą pewnością w naszych kniejach istnieje i jeszcze niejednemu „wczasowiczowi" przysporzy pięknych, niezapomnianych wrażeń. Przykładem poparłem to wyżej.

Darz bór, Kolego Marianie!

Wł. Zabiełło.

Z obrad Walnego Zgromadzenia w Łodzi

W Zgromadzeniu, któremu przewodniczył prezes Rady, inż. G. Głowacki, wzięło udział 10 członków Rady Wojewódzkiej i 12 przedstawicieli Rad Powiatowych, a nadto delegat Rady Naczelnej, kol. Z. Kowalski oraz przedstawiciele władz miejscowych.

Sprawozdanie wykazało, iż ilość członków P. Z. Ł. na terenie województwa wynosiło w 1947 r. — 2.680 osób, zjednoczonych w 14 Radach Powiatowych. Połowa tej ilości członków, mianowicie 1397 osób, otrzymała pozwolenie na posiadanie broni myśliwskiej za pośrednictwem Rady Wojewódzkiej, pewna ilość członków otrzymała ponadto zezwolenia bezpośrednio od Urzędu Bezpieczeństwa. Rada zorganizowała Sekcję Strzelectwa Myśliwskiego pod przewodnictwem kol. Kiszkurno i przy udziale prof. Kurowskiego, która nawiązała kontakt z Armią marszałka Rokossowskiego, od której ma otrzymać 10 tys. sztuk amunicji i maszynę do rzutków. Dobrze rozwijająca się Sekcja Kynologiczna posiada już 4 psy — dwa pointry i dwie suczki ostrowłose, znajdujące się obecnie na tresurze w Ośrodku Szkoleniowym w Goraju. Do tegoż Ośrodka skierowani zostali 4 pracownicy terenowi Dyrekcji L. P. dla zaznajomienia się z hodowlą i tresurą psów myśliwskich. W celu walki z kłusownictwem Rada nawiązała bliższy kontakt z władzami i wyznaczyła kwotę 20 tys. zł. na wypłatę wynagrodzenia funkcjonariuszom M. O. za ujęcie kłusowników.

Rada brała żywy udział w pracach nad nowelizacją prawa łowieckiego. Projekt ustawy złożony został Ministerstwu Leśnictwa i oczekiwać należy jej zatwierdzenia z końcem r. b.

Sprawozdanie finansowe Rady za 1947 r. zawiera po stronie przychodu kwotę 1.618.260 zł., po stronie wydatków — 1.345.413 zł. Budżet na r. 1948 przewiduje zamknięcie po obu stronach kwotą 3.025.847 zł.

Na podstawie dokonanych wyborów do Rady Wojewódzkiej w Łodzi, powołani zostali: dyr. G. Głowacki jako przewodniczący, oraz koledzy: Sajdak, Pasławski, Kluk, Stobnicki, Kiszkurno, Kulla, Wojtaszewski, Orlikowski, Hinc i Gawlik—jako członkowie Rady.



„Grupa uczestników"

DARZ BÓR

Zawołanie powyższe używane obecnie bardzo powszechnie, stało się popularnym powitaniem i pożegnaniem wśród braci myśliwskiej. Zastępuje on także w korespondencji pomiędzy myśliwymi dawniej używane, stereotypowe: „z poważaniem", „z szacunkiem", „z koleżeńskim pozdrowieniem" i inne, mniej oklepane, na które się ludzka uprzejmość wysilała, chcąc nadać słowom powagi i oddać cześć adresatowi.

Nikt nie zaprzeczy, że staropolskie darz bór wyraża dobitnie, jasno i krótko, najmilsze życzenie z pośród tych, jakimi moglibyśmy naszych kolegów obdarzyć, nie uciekając się do niefortunnego i przesadnie nieznoszonego przez świat myśliwych życzenia, spotykanego przez nich z ust laików myślistwa: — „powodzenia!"

To życzenie powodzenia w jakiejś pracy czy przedsięwzięciu, które nie jest zależne jedynie od naszej umiejętności i najstaranniej przygotowanych planów, może jest nawet logiczne, ale niezwykle niesympatyczne dla myśliwego, który, z wielu przesądów przez siebie uznanych, nie znosi go narówni z widokiem starej baby z pustymi wiadrami, przecinającej mu drogę wiodącą na polowanie.

Pozatem zdawkowość tego życzenia „powodzenia",

jest równoznaczna z życzeniem podnoszącemu łyżkę do ust „smacznego", choćby siedział przed misą nieokraszonych i nieosolonych ziemniaków, albo — gdy ktoś kichnie, z bezmyślnością powiedzonka „na zdrowie". Podczas gdy nigdy nikogo nie raziło i urazić nie może staropolskie „szczęść Boże" (w pracy), którego, za sprawą św. Huberta tak bliskim odbiciem jest życzenie leśnikowi czy myśliwemu „darz bór".

Oznacza to bowiem nie życzenie powodzenia w wykonaniu polowania, lecz życzenie, aby bór, w który wejść mamy teraz, obdarzył nas wszystkim, czym rozporządza, a więc pieknem i radością flory i fauny, krajobrazu, mowy swej leśnej duszy, z którą wkraczając w bór, zespalamy się sami duchowo.

Zdobycie trofeum, to rzecz drugorzędna i nawet, choćby najbardziej upragniona, nie stawiane jest przez prawdziwego myśliwego na pierwszym miejscu.

Skoro jednak nasze kochane, miłe, swojskie wezwanie czy życzenie: „darz bór" spopularyzowało się w ostatnich czasach tak bardzo i stanowi najwłaściwsze powitanie lub pożegnanie najbardziej nawet obcych sobie osobiście myśliwych, to czas najwyższy, aby zawołanie to było właściwie pisane i drukowane.

Wystarczy wsłuchać się weń dobrze i rozważyć jego pochodzenie językowe, aby nie dopuszczać się w piśmie takich nonszalancji, jak: „darz-bór" lub „darzbór".

Może na etykiecie naboi śrutowych nazwa „Darzbór", była przeróbką właściwą, dla stworzenia rzeczownika o charakterze jakgdyby imienia własnego, ale w naszej mowie pisanej do kogoś, mającej wyrazić mu życzenie, aby bór obdarzył go najhojniej, musimy, skrót tego życzenia, pochodzącego z „niech bór cię obdarzy", „darz cię bór", ustalić na wykrzyknikowe „darz bór!" — i pisać poprawnie.

Z działalności Rady Powiatowej w Lesznie

Powiatowy oddział P. Z. Ł. liczył z początkiem okresu sprawozdawczego 103, obecnie 158 członków zwyczajnych i nadzwyczajnych. Odbyły się dwa walne zebrania oraz ośm zebrań Rady Powiatowej. Głównym tematem obrad było: przyjmowanie kandydatów na nowych członków, sprawa zezwoleń na posiadanie broni myśliwskiej, rozważanie zamierzeń w zakresie imprez, udzielanie rad i wskazówek z dziedziny hodowli, ochrony i etyki łowieckiej, podniesienia poziomu łowiectwa w powiecie itp.

W zakresie głównych czynności i celów zmierzano do:

1) tworzenia obwodów łowieckich i wydzierżawiania ich.

   Współpraca z Starostwem Powiatowym, któremu m. in. wręczono wzór łowieckiej umowy dzierżawnej, sprawy te wydatnie pchnęła naprzód.

2) podniesienia poziomu praktyki łowieckiej.
   Latem—przy licznym udziale członków oraz kilku przedstawicieli sąsiednich powiatów—urządzono strzelanie śrutowe do rzutków i małokalibrowe do celów nieruchomych i ruchomych.

   Dzień Św. Huberta uczczono polnym polowaniem na zające w obwodzie Święciechowa, w którym w charakterze myśliwych wzięło udział 10 członków. Polowanie poprzedził Łowczy powiatowy omówieniem zasad, obowiązujących podczas polowań polnych. Po polowaniu odbyła się skromna kolacja składkowa.

   W okresie sprawozdawczym wygłosił Łowczy powiatowy dwa referaty: jeden na temat wielorakiego znaczenia łowiectwa dla jednostki, społeczeństwa i Państwa, drugi — na temat organizacji łowów i polowań oraz praw i obowiązków gospodarza i gości łowieckich. W dyskusjach poruszono i omówiono różne tematy z zakresu hodowli, ochrony, etyki łowieckiej oraz praw rządzących przyrodą.

3) uzyskiwania przez członków zezwoleń na posiadanie broni myśliwskiej.

   Sprawa ta nadal stanowiła troskę Rady, która wszelkimi dostępnymi jej środkami starała się o przyśpieszenie i usprawnienie wydawania owych zezwoleń przez Urzędy Bezpieczeństwa. Na odcinku tym należy stwierdzić znaczny postęp.

4) utrzymanie strzelnicy, zbudowanej podczas wojny i — przeznaczonej przez Dyrekcję Lasów na rozbiórkę. Wszczęcie z Dyrekcją Lasów pertraktacyj na temat dzierżawy strzelnicy przez P. Z. Ł. zadecydowało o utrzymaniu placówki tej, położonej na terenie Leśnictwa Karczma-Borów.

W zakresie zamierzeń na rok następujący po sprawozdawczym pozostaje:

1) stworzenie biblioteki łowieckiej oraz — w związku z brakiem literatury — hektografowanie ulotek, w skrócie, obejmujących najważniejsze dziedziny łowiectwa.

2) wycieczka członków wraz z rodzinami do Białowieży, względnie do jakiegokolwiek innego miejsca o pierwotnych warunkach przyrodniczych.

3) dwukrotne — ewent. konkursowe — strzelanie śrutowe i kulowe w okresie letnim.

4) częstsze referaty łowieckie, komunikaty w prasie i żywszy, wzajemny kontakt Rady z członkami i na odwrót.

Rozwój łowiectwa na terenie powiatu jest na ogół stosunkowo powolny, ale stały. Wśród znacznego odłamu członków, będących powojennymi adeptami łowiectwa, zainteresowanie dziedziną tą jest żywe i na ogół towarzyszy mu chęć pogłębienia wiedzy fachowej, czemu, niestety, przeszkadza znaczny brak odpowiedniej literatury.

Po zniszczeniach wojennych i powojennych, zwierzyna ilościowo poprawia się powoli, tu i ówdzie osiągając już stan średni. Zgoła niedostateczna ilość psów myśliwskich, prawie zupełny brak broni kulowej oraz nagminnym, powojennym objawem będący brak czasu — niestety nie pozwala jeszcze na wydźwignięcie ochrony łowiectwa na właściwy, konieczny jej poziom. W okresie gojenia się łowiectwa i zadanych mu ran, groźbą, mogącą przekreślić dotychczasowe osiągnięcia i zahamować dalszy rozwój, jest zapowiedź pobierania przez powiat znacznego podatku łowieckiego. Niewysokie, dotychczasowe czynsze dzierżawne, przystosowane do ilościowego i jakościowego stanu zwierzyny, w ten sposób stracą dodatnie swe znaczenie, stanowiąc zaledwie część łącznie zbyt wysokich obciążeń.

Wiesław Szczerbiński
Łowczy powiatowy.

Druk i klisze – Wojskowy Instytut Geograficzny Al. Jerozolimskie 55. R. W. 1129. – VI. 48. 25.000. –B–52492

OBWIESZCZENIE

Dnia 7 sierpnia 1948 r. godz. 10-ta w Siedzibie Polskiego Związku Łowieckiego, Nowy Świat 35, odbędzie się **posiedzenie Naczelnej Rady Łowieckiej**, z następującym porządkiem dziennym:

1. Odczytanie protokółu z zebrania w dniu 6.V.1948 r.;
2. Sprawozdanie z działalności Komitetu Wykonawczego za czas od 7.V.48 do 6.VIII. 48;
3. Zatwierdzenie preliminarza budżetowego Rad Wojewódzkich;
4. „ „ projektu preliminarza budżetowego Polskiego Związku Łowieckiego;
5. Ustalenie projektu wysokości składki na rok 1949;
6. Zmiana Statutu Polskiego Związku Łowieckiego;
7. Wnioski, zgłoszone na Walne Zgromadzenie;
8. Wolne wnioski.

Obchód 25-cio lecia Polskiego Związku Łowieckiego, odbędzie się w ramach Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Łowieckiego w dniu 8 sierpnia 1948 r. w Siedzibie Polskiego Związku Łowieckiego, Nowy Świat 35, z następującym programem:

1. Godzina 9-a rano — Msza Św. w kościele Św. Krzyża.
2. „ 10-a „ — początek obchodu w Siedzibie P. Z. Ł.

a) zagajenie przez Prezesa P. Z. Ł. Generała Szareckiego;
b) dokonanie odznaczeń łowieckich przez Prezesa Kapituły Odznaczeń Polskiego Związku Łowieckiego;
c) referat Z. Kowalskiego „Historia zorganizowanego Łowiectwa w Polsce";
d) referat K. Humińskiego „Cele i zadania Polskiego Związku Łowieckiego";
e) wyświetlenie filmów „Polowanie w Białowieży" i „Ptasia Wyspa";
f) lampka wina;
g) wspólny obiad.

3. **Walne Zgromadzenie P. Z. Ł.** godzina 15-ta:
a) odczytanie protokółu z Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia z dnia 26.X.1947 r.
b) sprawozdanie z działalności Rady Naczelnej za okres od 25.X.47 do 30.VI.48.
c) sprawozdanie finansowe za rok 1947 i zatwierdzenie preliminarza budżetowego na r. 1948.
d) sprawozdanie Komisji Rewizyjnej.
e) ustalenie wysokości składki na rok 1949.
f) uzupełniające wybory do władz naczelnych Polskiego Związku Łowieckiego i Komisji Rewizyjnej.
g) zmiana statutu Polskiego Związku Łowieckiego.
h) wolne wnioski.

4. **Zebranie towarzyskie** (godzina 20.30).

W związku z przesunięciem terminu **obchodu 25-lecia P. Z. Ł. Zeszyt jubileuszowy „Łowca Polskiego"** (Nr 7/8) ukaże się z końcem lipca r. b.
Następny kolejny zeszyt Nr 9 wyjdzie we wrześniu r. b.

WARUNKI PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO" W 1948 R.

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili składkę członkowską za r. 1948 na ręce odnośnych Rad Wojewódzkich i Powiatowych w kwocie 1.000 zł., a leśnicy wszelkich stopni, funkcjonariusze Urzędów Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej oraz słuchacze Wyższych Uczelni — w kwocie 600 zł. — otrzymują miesięcznik „Łowiec Polski" bez żadnej dopłaty. Pismo jest przesyłane przez Administrację „Łowca Polskiego" według adresów, dostarczonych przez Łowczych Powiatowych. O wszelkiej zmianie adresu należy powiadamiać kol. Łowczych Powiatowych, **dołączając 25 zł. na koszt sporządzenia nowej kliszy adresowej.**

Inne osoby, pragnące otrzymywać nasze pismo, winny tytułem prenumeraty wpłacać na poczcie na konto „Łowca Polskiego" w P. K. O. N I 1077 kwotę roczną 500 zł., bądź też w stosunku 50 zł. za jeden zeszyt.

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie jednorazowe, zajmujące całą stronę okładki lub za tekstem, pobiera się 15.000 zł., za ¾ strony — 12.000 zł., za ½ strony — 9.000 zł., za ¼ strony — 6.000 zł., za ⅛ strony — 3.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne prywatne zwykłym drukiem—po 15 zł. za wyraz, grubym drukiem— 30 zł. za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Nieruchomości Ziemskich korzystają ze zniżki 50%, jeżeli ogłoszenia są nadsyłane bezpośrednio do Redakcji.

Redaktor — prof. J. Gieysztor. **Wydawca** — Polski Związek Łowiecki.

Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 825-29.